

SPOTKANIA SŁIRZAN

Nr 2 (137)

LUBIN

2019 r.



Klasztor studytów z XVI w. w Uniowie. Widok z r. 2008.

Fot. Katarzyna Łoza.

Fotografię pobrano ze strony lwow.info.

Szanowni Krajanie,



onflikt w Ciesninie Kerczeńskiej, pomiędzy Rosją i Ukrainą, służy obu państwom, a szczególnie prezydentom tych krajów. Putin ma coraz słabsze notowania w Rosji i gotów jest walczyć o pęczek pietruszki, aby wykazać stanowczość w obronie kraju. Petroszenko ma na karku wybory prezydenckie i musiał czym się wyróżnić również zdecydowaną postawą, by zyskać na popularności i powiększyć grono swoich zwolenników, czego nie udaje mu się, jak świadczą akcje protestacyjne Ukraińców, np. zmniejszenie rozmiary korupcji.

Nie wiadomo, jakie byłyby ustalenia w sprawie przepływu ukraińskich okrętów wojennych przez cieśninę, ale ponoć statki handlowe bez przeszkód mogłyby tą drogą dostać się do ukraińskich portów.

Incydent bardzo łatwo może eskalować i doprowadzić do czegoś bardziej poważnego. Opinia międzynarodowa stoi za Ukrainą, ale mimo nawoływań ukraińskich jastrzębi do wprowadzenia ich okrętów w rejon konfliktu, skończyło się na politycznych potajankach.

Może działania rosyjskie były ostrzeżeniem związanym z przyszłą samodzielnością Cerkwi prawosławnej na Ukrainie, czemu Rosja jest zdecydowanie przeciwna. Oddzielenie się Cerkwi może stać się zarzewiem wewnętrznych konfliktów pomiędzy wiernymi, bowiem już od kilku lat aktywiści (głównie z Prawego Sektora) napadają na kościoły podległe Moskiewskiemu Patriarsze. A namiestnik Ławry Pezerskiej, metropolita wyszhorodzki i czarnobylski, Paweł, mówił wcześniej o napływających pogroźkach dotyczących zajęcia ławry. W tym wieku jeszcze nie było tam wojny religijnej.

Lubin, styczeń 2019 r.

Józef Wyspiański

Spis treści numeru 137

Str.

3. Kartka z pamiętnika. Pamiętnik Ewy (XIII).
14. T. Bukowiński. Pamiętamy.
15. Wypisy z „Gazety Lwowskiej” (I).
20. M. Kubiszyn. 14 kwietnia banderowcy zabili mojego brata.
23. B. Kopociński. Matematycznym okiem na urodzenia świrzan.
26. A. Umland. Ukraiński rządowy instytut pamięci przeciw Zachodowi (I).
30. J. Lancel. Z Glinian do Raczyc.
31. Wywiad z A. Komorowskim (IV).
38. E. Matkowski. Dziecięce obrazki z mojego Kopania.
44. Uszkowice, wieś dominikańska.

Kartka z pamiętnika

Red. Poprzednia część wspomnień Ewy P. ukazała się w zeszycie nr 130.

Pamiętnik Ewy [Piątkowskiej] (cz. XIII)

W pierwszych dniach czerwca obwieszczono nam, że *wychodnoj*, odtąd począwszy, będzie w niedzielę, a nie jak dotąd, co szósty dzień. Starzy Rosjanie innowację tę przyjęli ze wzruszeniem, zaopatrując ją komentarzem: - Nastąpią wielkie, bardzo wielkie zmiany, jak Bolszewicy przywrócili niedzielę, tak jak za cara”. Z ust Rosjan słowa te wychodziły, jak jakieś misterium, okryte całunem tajemniczości. Rosjanie od 1918 roku żyją nadzieją przemian, inaczej dawno by przestali żyć. Przywrócenie niedzieli uważali za pierwszą jaskółkę reform, nawrotu do starego porządku świata.

Wysłałam do Mietka pierwszy list. Opisałam ogólnie, jak tu żyję. Pod koniec czerwca otrzymałam paczkę, wysłaną wspólnie przez teściową i ciotkę Stanisławę. Ponadto teściowa przysłała mi 200 rubli. Nic mi w życiu nie sprawiło takiej radości, jak ta paczka. Poczułam opiekę, że nie jestem osamotnioną. Natychmiast podziękowałam za paczkę i poprosiłam teściową o wiadro na wodę.

Odwiedza nas Baboniowa. Optymizm nie opuścił jej. Obecnie przesunęła nasz powrót do Lwowa na jesień.

Mama codziennie gotuje obiad na podwórzu, na piecyku ulepionym z gliny. Gospodyni Natasza z dzieckiem żyją chlebem i kwaszoną kapustą. Dwa razy w tygodniu gotuje z rana *lapszę*, jedzą ją przez cały dzień. W sobotę pod wieczór przyjeżdża mąż Nataszy, przywozi rybę, więc w niedzielę jedzą obiad - ową rybę.

Mama szuka zajęcia, odwiedza nauczycielki dziesięcioklasowej szkoły. Podczas swych wędrówek poznała dwie starsze nauczycielki. Zaprosiły mamę do siebie na szklaneczkę *czaju*. Nauczycielki mieszkają schludnie, wyraźnie odbijają od innych Rosjan, mieszkańców Urdżaru. Ojciec nauczycielek, starszy, przystojny mężczyzna, zatrudniony jest w charakterze *buchaltera*. Dwie córki, właściwie pasierbice, są nauczycielkami w szkole średniej, a gospodarstwo prowadzi starsza *madam*.

Z domem tym zadzierzgnęłyśmy nić przyjaźni. Z czasem *madam* wyjawiała nam swą przeszłość. Pochodziła z Moskwy, mąż był carskim pułkownikiem. Z małżeństwa tego miała troje dzieci: syna i dwie córki-nauczycielki. Syn służy w wojsku. Podczas rewolucji bolszewicy rozstrzelali jej męża. Wysła ponownie za mąż za kolegę męża, również pułkownika. Kiedy fala rewolucji ogarnęła Rosję, pozostawili dobytek, wdziali łachmany i uszli do Urdżaru na step, by zatrzeć pochodzenie. Córki i syn nie znają pochodzenia rodziców.

Pewnego dnia córki wyszły na zebranie partyjne, *madam* wyciągnęła

z ukrycia zawiniątko, a był to plik dokumentów, fotografii i książeczka do nabożeństwa. Ujrzeliśmy jej wspólną fotografię z pierwszym mężem. On w mundurze galowym przy szabli, ona w futrzanej etoli, a dzieci wyglądały, jak wypieszczone aniołki. Podczas jednej z rozmów, gdy córki wyszły z domu, pułkownik carski, jak gdyby w zamyśleniu, powiedział:

- Bądź spokojna, nie pozostaniesz tutaj dłużej, jak rok.

Żona pułkownika machnęła ręką, powiedziała:

- Co ty mówisz!? Jakbyś nie znał rewolucji i Bolszewików.

Na to pułkownik, patrząc w dal, zaakcentował:

- A jednak zobaczysz, za rok będziesz wolną.

W Urdżarze nikt nie zna ich pochodzenia. Dom ten jest nam przyjazny. Samowar syczy, siedzimy, gwarzymy i spijamy słodką herbatę, bo córki są partyjne, więc otrzymują przydział cukru.

Mama szyje w rękach suknie dla Rosjank i tym zarabia na życie. Pod koniec czerwca zmieniliśmy mieszkanie. Wynajęliśmy izbę w śródmieściu. Czysz wynosi 40 rubli miesięcznie. Izba bez podłogi, ale u okienek wiszą firanki, a ustęp, choć spleciony z łodyg kukurydzy, ale pod dachem.

Władze sowieckie doszły do przekonania, że nasze wykształcenie posiada poważne braki, choć wielu ma wykształcenie wyższe, a inni średnie, więc zorganizowano dla nas kursy dokształcające. Rozpoczęto uczyć nas sztuki pisania, czytania, rachunków do sto z dodawaniem i odejmowaniem oraz wierszyków opiewających Stalina, kołchozy, sowchozy, traktor i czołg. Mamę również dokształcają. Uchodzi za półanalfabatkę słabą w rachunkach, choć zna wyższą matematykę.

Z początkiem lipca NKWD roztoczyło opiekę nad nami. Zaaresztowano Helebrandów: Danutę i Zbigniewa. Zbigniewa wezwali do NKWD i zaaresztowali, a Danutę zabrali z domu, po uprzedniej skrupulatnej rewizji. Aresztowani mieli powiedzieć na cegielni:

- Hitler nie dotrzyma sojuszu Rosji, napadnie Rosję i zajmie Ukrainę po Kijów.

Nazajutrz po aresztowaniu Helebrandów, zostałam wezwana do NKWD. Za biurkiem zastałam zastępcę naczelnika, wysokiego, z ogoloną głową, o zimnych, niebieskich oczach, *towarzysza* Bielajewa.

Wpierw spisał personalia moje, mamy, ojca i męża, następnie pouczył o surowych karach za złożenie nieprawdziwych zeznań, zamacał pióro w brudnym kałamarzu, spojrzął na mnie przenikliwym wzrokiem, cedząc słowa, i zapytał:

- Co to był za list, który ci wczoraj czytała podczas lekcji Hłodzikówna?

- Ona nie czytała mi żadnego listu - powiedziałam.

- Kłamiesz - syknął Bielajew.

- Prawdę mówię.

- Wszyscy widzieli, jak Hłodzikówna czytała ci list - cedził słowa Bielajew.

- Nie mogła mi czytać listu, bo jakiś list otrzymała dopiero po lekcji - oświadczyłam.

- Prawdy nie mówisz, możesz odejść, ja cię jeszcze zobaczę - zagroził Bielajew.

Co prawda słyszałam, iż Hłodzikówna otrzymała list ze Lwowa, w którym doniesiono o nowej wywózce, tym razem uchodźców, ale w NKWD odpowiadałam ściśle na zapytanie. Dwa dni później wezwano do NKWD Zygmunta Urbana. Z przesłuchania wrócił zupełnie zmieniony.

Nazajutrz rano podszedł do mnie Jeremienko. Powiedział, abym natychmiast poszła do NKWD do Bielajewa. Zanim poszłam do NKWD, podeszłam do Zygmunta, zapytałam:

- Powiedz mi, w jakiej sprawie ciebie przesłuchiowano?

- Nie mogę ci tego powiedzieć.

- Powiedz, czy była mowa o mnie? - zapytałam.

- Tak, ja ciebie podałem na świadka, na okoliczność, co mówiła Danusia Helebrand - wynurzył ściszym głosem Zygmunt.

- Cóż ona mówiła? - zapytałam zdziwiona.

- A... na temat ewentualnego napadu Niemców na Rosję.

- Przecież ja tego nie słyszałam - powiedziałam z oburzeniem.

- Ja myślałem, że wszyscy na cegielni słyszeli.

- Przecież ja pracuję gdzie indziej i nic nie słyszałam. Dopiero teraz z ust twoich usłyszałam, że Danuta miała coś podobnego powiedzieć.

Zygmunt poczerwieniał i odszedł zakłopotany. Z uczuciem strachu poszłam do NKWD. Bielajew znowu spisał cały mój rodowód i rodowody rodziców oraz męża. Po spisaniu rodowodów, Bielajew popatrzał na mnie i po dłuższej przerwie męczącego wyczekiwania powiedział:

- Masz mi dokładnie powiedzieć, co mówili na cegielni „Gelebrand”, a zwłaszcza „Danuda”.

- Ja z nią nie pracuję, tylko z Jadwigą - zeznałam.

Bielajew męczy mnie w kółko o jedno i o to samo, w końcu wy dobył rewolwer, odbezpieczył i położył na stole. W ten sposób usiłował zniewolić mnie do złożenia nieprawdziwych zeznań. Wyjaśniam, że nie słyszałam, co mówiła Danuta i niczego zeznać w tej sprawie nie mogę.

Ta nieustanna indagacja trwała od godziny 11-tej przed południem, do godziny 4-tej po południu. Nazwał mnie prostytutką, schował rewolwer, chwycił za słuchawkę telefonu i wydał dyspozycję, aby zaraz przyszedł konwojent i odprowadził mnie do więzienia. Po ciele przeszły mi ciarki. Nieprawdy nie zeznam, niech Bóg ma mnie w swej opiece i zatopiłam myśli w modlitwie.

Bielajew zamknął drzwi kancelarii na klucz i wyszedł. Siedzę w zam-

kniętej kancelarii, okna okratowane, drzwi obite blachą, biurko i szafy zamknięte na klucze i kłódki. Czekam na odprowadzenie do więzienia.

Powrócił Bielajew, zasiadł za biurkiem i od nowa zaczął wymuszanie. Nie uzyskawszy ode mnie upragnionych zeznań, spisał długi protokół zawierający jedną groźbę, włącznie do spędzenia życia w łagierze, że rozmów z *zatrudnikiem* NKWD Bielajewem, nigdy nikomu nie powtórzę.

Po podpisaniu protokołu, pozwolił mi pójść do domu, a gdy byłam u wejścia ostrzegł mnie:

-Tylko dobrze zastanów się.

Codziennosc w Urdzarze.

Mama odwiedza nauczycieli. Zachęca ich, aby pobierali lekcje muzyki. W dwa dni po męczących przesłuchaniach w NKWD, przybył do nas pracujących wielce uradowany Jeremienko i głośno obwieścił:

- Francji już nie ma.

Oszołomiony zwycięstwem Niemców znowu podkreślił:

- Światem rządzić będą Niemcy i my.

My Polacy nie wierzyliśmy w brednie sowieckiego propagandyzisty. Wiadomość o pokonaniu Francji przyjęliśmy z niedowierzaniem. Kilka dni później doszły nas listy ze Lwowa, niestety, potwierdziły upadek Francji. W sercach naszych obchodziliśmy żalobę, a oblicza nasze zdradzały smutek. Jedynym płomykiem nadziei naszej pozostała Anglia.

Wśród wygnańców zaistniały wypadki malarii. Czynniki sanitarne zastosowały leczenie profilaktyczne za pomocą akrychiny. Tabletki akrychiny posłużyły nam do barwienia bluzek i innych rzeczy, bowiem za bluzkę żółtą cena znacznie wyższa aniżeli za białą. Przyczyna prosta. Biała bluzka szybciej chwytła brud od żółtej, a mieszkańcy Urdzaru cierpią na chroniczny brak mydła.

Plechawska pracuje w kancelarii. Powszechnie mówią, że NKWD powierzyło jej cenzurę naszych listów. W stosunku do niej zachowujemy ostrożność.

Lato w Urdzarze upalne. Nie pada deszcz. Ciężko znoszę upały. Słońce praży, a od pieca cegielni bucha żar. Maczamy chusteczki w wodzie i ochładzamy głowy. Dzisiaj przeżyliśmy w cegielni niemiły wypadek. *Sztafle* cegły, ustawione w piecu, runęły. Na szczęście nikogo tam nie było. Drżymy ze strachu, aby zarządca cegielni nie poczytał tego za sabotaż, za co grozi kula w łeb, w szczęśliwym wypadku 15 lat robót przymusowych. Usunęliśmy rumowisko cegieł tak, aby zmniejszyć rozmiary strat. Prace wykonujemy ze łzami w oczach. Wkładamy w nią spory wysiłek fizyczny, ale wydajność licha. Gdyby zamiast bredni, wygłaszanych przez analfabetów *kulturników*, objaśniono nam zasady pracy, wówczas byłoby nam przydatniejsi.

Mieszkańcy Urdzaru nagabują nas o sprzedaż przechodzonych rzeczy.

Obecnie żaden Kazach nie oddaje swych produktów rolnych za pieniądze, tylko proponuje wymianę za rzeczy.

Pod koniec lipca wstrząsnął nas proces rodzeństwa Helebrandów. Na ławie oskarżonych zasiedli Danuta i Zbigniew. Jako świadkowie występowali: Polak - Zygmunt Urban, Polak - Stanisław Freydenberg i Rosjanin, 17-letni chłopak Alosza, którego ojciec siedzi w *tiurmie*, a syn spełnia rolę agenta NKWD. Proces miał miejsce przy drzwiach zamkniętych. Danutę skazano na 4 lata katorgi, Zbigniewa zaś na 6 lat katorgi.

Nie wszystkie Polki w Urdźarze zdały egzamin, bo biegają do cerkwi - do kina i na tańcówki. W sierpniu zmarł staruszek Breder, z tęsknoty za ojczyzną. Pochowano go w prymitywnej trumnie. Na cmentarzu usypaliśmy polską mogiłę, a u wezłowania ustawiliśmy drewniany krzyż. Rosjanie z przerażeniem patrzą na krzyż, bowiem dotąd NKWD poczytywało ustawienie krzyża za objaw kontrrewolucji. Na stepie, obok sowieckich pięcioramiennych gwiazd i islamskich półksiężyców, widnieje pierwszy krzyż. Kiedy NKWD za krzyż nikogo nie aresztowało, po tygodniu, na licznych grobach Rosjan, również wzniesiono drewniane krzyże.

Nieomal wszyscy wygnańcy polscy otrzymują paczki i pieniądze z kraju. Rosjanie z niedowierzaniem patrzą na to. Mówią, że oni nie pytają o los aresztowanych lub deportowanych, gdyż za kontakt z takimi osobami grozi zsyłka lub łagier. Bliższe kontakty utrzymujemy z Wodzickimi i Hłodzikami. Pan hrabia Wodzicki posiadał pod Tarnopolem majątek ziemski. To kulturalna rodzina ziemiańska. Zнали moją babcię i pradziadków, też właścicieli ziemskich. Z hrabią Wodzickim omawiamy politykę bieżącą, w szczególności Polski.

- Sytuacja wybitnie mętna. Gdyby Rosja popadła w wojnę, natenczas los nasz ulegnie radykalnej zmianie - zauważyła mama.

- Niemcy nie pozostawią Rosji w spokoju - powiedział z przekonaniem hrabia Wodzicki.

Na ulicy Urdźaru spotkałyśmy dwie dobrze odziane niewiasty.

-To na pewno Polki - zwróciłam uwagę. Niewiasty te przystąpiły do nas, wymieniły swe nazwiska, powiedziały, że za zgodą NKWD zostały przeniesione z kołchozu do Urdźaru. Ta starsza wiekiem niewiasta zapytała:

- Gdzie można tu kupić kawał kiełbasy, jakąś bułkę i wypić kawę?

- Tutaj niczego nie ma - powiedziałyśmy.

- Jak to, i w mieście też niczego nie ma? - wyraziła zdziwienie nasza rozmówczyni, pani Kolhepowa.

Z czasem, z konieczności, przywykłyśmy do tego prymitywnego życia na stepie. Czasami zdobywamy gazetę sowiecką. Czytamy od deski do deski te skąpe wiadomości polityczne. Gazeta sowiecka zawiera kilka oficjalnych komunikatów ze świata, a gros stanowią opisy z życia kołchozów, kto wyrobił normę i kto został stachanowcem. Rosjanie i Kazachowie żyją w ustawicznym strachu.

Są małomówni, nie odwiedzają jeden drugiego, tylko całymi rodzinami wysiadują przed chałupami i iskają wszy, które ubijają na nożach stołowych.

Pod koniec sierpnia zmieniliśmy mieszkanie na dogodniejsze. Mieszkamy przy głównej szosie u *babuszki*, żony nieżyjącego popa prawosławnego. Izba schludna, a dom pachnie czystością.

Mieszkanie *babuszki* czyste, łóżko nakryte bielusięką kapą. Na komodzie, służącej za domowy ołtarzyk, leży kilka ksiąg cerkiewnych. Służą do odmawiania wspólnych modlitw. Na środku komody, w lichtarzach, są woskowe świece, a obok naczynie do spalania wonnych kadzideł. Ściany mieszkania obwieszono obrazami świętych, a w narożniku izby ikona, przed którą płonie lampka oliwna.

U *babuszki* często są goście, niewiasty i małe dzieci, bo ona spełnia niedozwolone czynności popa. Chrzczi dzieci, odprawia nabożeństwa, udziela błogosławieństwa i spełnia różne czynności religijne, powierzone jej przez zmarłego męża popa.

W pierwszych dniach września przygarnęliśmy Lilę Jankowską, żonę oficera marynarki. Utraciła jedyne dziecko. Ciężko przeżywa ten okrutny cios. Dałyśmy jej schronienie, by oddaliła te koszmarne, złe myśli.

Babuszka zachorowała, leży w łóżku. Zawołała nas i poprosiła, abyśmy sprowadzili polskiego lekarza.

- Sowieccy lekarze nic nie umieją. Zapisują takie środki, które nie są ani gorzkie, ani słone, dlatego nie pomagają - ubolewała.

Poprosiłam do niej lekarza Polaka, dr Szybalskiego. Przyniósł ze sobą polskie specyfiki. Lekarz zbadał *babuszkę* i dał jej pigułki. Nazajutrz wstała z łóżka, bo poczuła znaczną poprawę.

Pod koniec września skierowano mnie na wykopki ziemniaków. Za Urdżarem, po obu brzegach rzeczulki, której początek wytryska w górach Tarbagataj, ciągną się pola uprawne, są pod zarządem artelu. Podczas lata, kiedy panuje posucha, pola są nawadniane za pomocą urządzeń irygacyjnych. Ziemia pulchna. Hrabia Wodzicki określa ją jako „wazonikową”. Zbiór ziemniaków obfity, są dorodne, gładkie, a wydajność z jednego krzewu nadzwyczajna. Przy tej pracy, na skutek pozycji zgiętej, poczułam ból w krzyżach.

Urdżar położony jest 30 kilometrów od gór Tarbagataj. Podgórska część stepu pokryta jest bujną trawą, przeplatana barwnymi kwiatami polnymi. Nad roślinnością stepową górują dzikie malwy, dochodzą do dwóch metrów wysokości. Podgórska część stepu gęsto usiana jest dzikim groszkiem o subtelnym barwach i silnym zapachu.

Ostatnią miejscowością przygraniczną jest Bachtą, zamieszkała wyłącznie przez NKWD i milicję. Na wyjazd do Bachtę potrzebna jest specjalna legitymacja, inaczej opustoszałby Urdżar z ludzi.

Mama zahaczyła o pracę. Uczy muzyki 12-letnią córkę naczelnego leka-

rza szpitala. W domu lekarza często zjada kawał chleba posmarowanego masłem i wypija szklanekę słodkiej herbaty. Żona lekarza, na narzekanie mamy, powiedziała:

- Popatrzcie, mąż mój był pastuchem, a ukończył uniwersytet i został lekarzem.

A mama jej na to:

- Myśmy wprawdzie kończyli uniwersytety, a obecnie zostaliśmy pastuchami.

Rozmówczyni umilkła i nic więcej nie powiedziała. Oprócz tego mama uczy muzyki kierownika szkoły średniej, Pawła Aleksandrowicza, jednego nauczyciela i dwie nauczycielki. Dotąd w szkole średniej stał beczynnie fortepian, ale nikt nie umiał grać. Uczniowie są zdolni i muzycy, ale nut w Urdźarze nie ma, więc mama napisała po nuty do Lwowa.

Kłopoty z mieszkaniem.

Październik 1940. W dzień słońce miło grzeje, nocą dokucza przejmujące zimno, połączone z ostrymi wiatrami. Dalej kopimy ziemniaki, są skamieniałe, po prostu zmarznięte. W Polsce ziemniaków takich nikt by nie jadł. Zużyto by je dla celów przemysłowych, do wyrobu spirytusu. W Urdźarze ziemniaki te idą do stołówek, do zupy. Obywatele ZSRR zadowoleni z takiego obrotu sprawy, że wreszcie zupy są gęściejsze.

Kiedy nastąpiły zimne wieczory, noce i poranki, rozmyślałyśmy nad opałem. Węgla ani drzewa w sprzedaży nie ma. Węgiel przychodzi w znikomej ilości i jest przeznaczony dla NKWD i urzędów. Tubylcy, jako opału, używają *kiziaków*, to jest odchodu krowiego lub baraniego, zmieszanego ze słomą i gliną. Z masy tej lepia okrągłe placki wielkości talerza i suszą na słońcu. *Kiziak* można porównać do torfu.

Kiziaki są drogie i trudno osiągalne, bowiem pogłowie bydła i baranów niskie, ze względu na wysoki haracz w naturze. Wieśniacy trzymają tylko dozwoloną ilość, po jednej krowie, za którą nie potrzebują składać świadczeń w naturze, mięsie. Wracając z pracy zbieram gałązki *karagaju*, suchy barani odchód, albo zgubiony przez Kazacha *kiziak*. To, co zbieramy wspólnie z Lilą, stanowi nasz codzienny opał, od którego uzależniony jest obiad i ciepła woda do mycia.

Dzisiaj podeszło nas szczęście, do stołówki wieźli pełną arbę kapusty. Woźnica zgubił głowę kapusty. Rozkroiliśmy kapustę na pięć części i podzieliłyśmy między siebie, więc nazajutrz miałyśmy kapuśniak.

Jesteśmy bez światła. Od trzech miesięcy chodzimy na bazar i szukamy lampy naftowej, ale nikt lampy nie sprzedaje. *Babuszka* praktyczniejsza od nas, zrobiła nam lampę ze szklanego słoika. Słoik przykryła blachą, w środku blachy wybiła gwoździem dziurę, przeciągnęła knot, ukreślony z waty, po czym zapaliła tę dziwną lampę, a jednak „lampeczkę”. Lampeczka strasznie kopci, sadza fruwa

po chałupie, co chwila podciągamy knot ku górze i tak spędzamy zimowe wieczory. Dzięki *babuszce* mamy kopcido, a mama nabywa benzynę do prymusa za rzeczy u żon szoferów.

Teściowa, występująca pod nazwiskiem „Gadzińska”, przysłała mi upragnione wiadro. Tubylcy przyszli oglądać wiadro, zaoferowali za nie różne produkty żywnościowe, ale wiadro przyrzekłam *babuszce*. Otrzyma je, gdy będziemy opuszczać Urdzar. *Babuszka* obiecała za wiadro chleba z pół puda mąki na drogę.

Urdzar nie posiada wodociągów i nie każda zagroda ma studnię. Na stepie studnia powstaje tam, gdzie żyła wodna, więc z jednej studni korzysta tysiąc ludzi. My mamy do studni prawie pół kilometra, więc wody używamy oględnie.

Od profesora Kijasa otrzymałam odpowiedź na mój list, w którym to liście doniosłam o warunkach i położeniu na stepie. Profesor odpisał, że życzy mi wszystkiego najlepszego i rychłego powrotu, a przyjdzie na krokiety z parmezanem i na odkrytce tej podpisał: „Juliusz Słowacki”. Juliusz Słowacki na pewno by tak nie postąpił - pomyślałam.

Moja dawna służąca - Hela Leszczyszyn z Przemyślan, przysłała mi paczkę żywnościową i pieniądze, które uzbierała wśród znajomych. Dawali dla mnie nie tylko Polacy, ale i Ukrainiec Kobow i Żyd Kohn. Pomoce były znaczne, gdyż zarobek mój wynosił od 30 do 60 rubli miesięcznie.

W pierwszych dniach listopada, *babuszka* urządziła uroczyste, 24. godzinne nabożeństwo, zwane „wspomnieniem” *dzieduszki* popa. Na nabożeństwo to przyszło kilkanaście starszych niewiast i staruszek, mężczyzna. Ceremonię rozpoczęto w rocznicę godziny śmierci popa. Komodę *babuszka* zamieniła na ołtarz. Po środku stał krzyż, a po bokach płonęły cztery świece. Nad krzyżem wisiał obraz Matki Boskiej, a z boku, na ołtarzyku, stała miedziana miniaturka łódki na filarku, z której uchodziły wonne kadzidła. Przybyli siedzieli na długich ławach, *babuszka* klęczała przed ołtarzykiem i odmawiała modlitwę, a wierni wtórowali. Następnie odmawiano wspólną modlitwę i śpiewano szeptem nabożne pieśni, aby głosy nie wychodziły poza izbę, bo za tego rodzaju spisek kontrrewolucyjny groził łagier.

Jesteśmy zaproszone do *babuszki* na „wspomnienia”. W izbie panuje nastrój kościelny spalanych kadzideł. Ołtarzyk w kraju, gdzie za jawne wyznawanie religii grozi kara, stwarza niewymowny, mistyczny nastrój. Podeszłyśmy pod ołtarzyk, uklękły, przeżegnały i odmówiły szeptem krótką modlitwę, a *babuszka* zapytała:

- Dlaczego żegnałyście się tylko raz? U nas obowiązuje trzykrotny znak krzyża świętego.

Wyjaśniłyśmy, że rzymskokatolików obowiązuje tylko raz znak krzyża. Zebrani u *babuszki* wyznawcy prawosławni prosili nas, abyśmy zaśpiewały po polsku. Śpiewałyśmy „Witaj królowo”, „Serdeczna matko” i „Pod Twoją

obronę”. *Babuszka* podeszła i poprosiła, abyśmy dalej śpiewały. Co tu robić? Śpiewamy przeważnie kolędy i tak śpiewaliśmy kolędę po kolędzie prawie godzinę całą. Wreszcie *babuszka* uznała, że dość. Zaprosiła nas do drugiej izby, gdzie zastałyśmy stół nakryty białym obrusem, a na stole była pieczona kaczka, kura, kapusta, miska klusek z miodem, słodkie kołaczki, gruszki i czaj z miodem. Jadłyśmy bez umiaru. Objedzone, podziękowałyśmy *babuszcze* i odeszły, by wypocząć. Pierwszy raz w Urdzarze byłam syta.

Do *babuszki* zjechał syn z rodziną z Syberii. *Babuszka* poprosiła, abyśmy uwolniły izbę, bo nie ma gdzie pomieścić gości. Znowu bieganie za izbą.

6 listopada 1940 wynajęłyśmy izbę chłopską, z wejściem przez kuchnię, u wdowca Rosjanina. Wieczorem zwiozłyśmy rzeczy, chłop z ukosa spogląda na nasze toboły. On i dzieci jego chodzą w zniszczonej odzieży.

Nazajutrz dzień wolny od pracy, obchód rewolucji październikowej. Wczesnym rankiem gospodarz otworzył drzwi naszej izby, stanął w progu, spojrział na nas i rubasznym głosem powiedział:

- Tam w kobiałce ciasto, trzeba upiec chleb, a w południe świniom dać żreć.

Spojrzałyśmy na siebie i nic nie powiedziałyśmy. Zaszłyśmy do stołówki artelu. Dzisiaj do herbaty dają cukier, a obiad będzie z dania mięsnego. W stołówce ruch, wszystkie miejsca zajęte. Za każdym krzesłem siedzącego stoją ogonki czekających na wolne miejsca przy stołach. Nikt nie rozmawia, wszyscy jedzą. Zjadłyśmy obiad mięsny i wypiliśmy po sześć herbat z cukrem.

Po obiedzie poszłyśmy do znajomych, by porozmawiać o Polsce i wojnie, a pod wieczór powróciłyśmy do domu. U progu chałupy siedział gospodarz. Był nasrożony, a w dłoni trzymał siekiere. Podeszłyśmy pod próg chałupy, gospodarz wstał z siekierą i zaczął krzyczeć:

- Won! Mnie nie potrzeba takich bab, co chleba nie upiekły i świń nie nakarmiły!

Stoimy spokojnie i milczymy, a opętany chłop z całych sił krzyczy, ulegając podniecie własnego głosu.

- Jutro opuszczamy izbę - powiedziała mama.

Gospodarz umilkł, zanurzył szeroką dłoń w rozczochranej czuprynie, odsapnął, powiedział:

- Żebym was jutro wieczorem nie zastał w mojej chałupie.

Mama od rana chodzi za mieszkaniem. Pod wieczór wynajęła pustą izbę za 60 rubli miesięcznie u Mołdawianina. Mama śpi na krótkiej ławie, a ja na ceglanym piecu. Z czasem gospodarz nabrał do nas zaufania, opowiedział nam swoją tragedię życiową.

W Mołdawii posiadał ogródek rolny. W roku 1928, pewnej deszczowej nocy, zbudziło go NKWD, nakazało spakować trochę rzeczy, zabrać nieco żywności i osadzili go z rodziną w zamkniętym wagonie. Wywieźli, jak wielu innych

Mołdawian, na rozległe stepy Kazachstanu. Jego miejscem zesłania była miejscowość przygraniczna - Bachtu. Pracowity Mołdawianin ulepił dom z gliny, uprawiał kawał pola, założył winnicę, wyhodował krowę, kilka baranów i rozpoczął żyć dostatnio. W roku 1938, pewnej nocy, NKWD nakazało spakować najniezbędniejsze rzeczy i wywieźli go z rodziną do Urdżaru. Po raz drugi rozpoczął życie na nowo. Mołdawianin głęboko westchnął, powiedział:

- W Rosji istnieje taki system, że nie wolno nic posiadać, bo wywiozą. A krwawicę zabiera, jako zapłatę, agent. I was czeka to samo. Będą przerzucać z miejsca na miejsce, aż zostanieiecie w łachmanach. Obecnie mnie nie wywiozą, bo jestem partyjnym.

Kilka dni później, a było to pod koniec listopada, wszedł do naszej izby gospodarz, załamał ręce i z oburzeniem w głosie powiedział:

- Pół setki lat przeżyłem, ale nie widziałem, aby ktoś w zimie otwierał okno i zawilgacał chałupę!

Przeprosiliśmy go za ten nietakt i odtąd poczawszy, nie otwierałyśmy więcej okna.

Wigilia na zesłaniu.

Prace polne ukończono. Przez kilka dni przebierałam ziemniaki. Cegielnię unieruchomiono z powodu mrozów, choć w dzień grzeje słońce, ale nocą doskwiera mróz.

Artel obmyśla dla nas zajęcie. Codziennie, zgodnie z nakazem, wystajemy po dwie godziny przed artelem, czekając na dyspozycje. W pierwszych dniach grudnia uruchomiono hafciarnię. Jestem nadal bezrobotną, zadowoloną z tego, bo zawsze wkładałam w pracę wysiłek, a rekompensata nikła.

U Kolhepowej zawiązano kółko spirytystyczne. Celem seansów jest chęć poznania przyszłości. Seansowi przewodzi Sochowa. Obsiedliśmy stolik, na którym stał talerz. Karasiński zaproponował, aby wywołać ducha Romana Dmowskiego. Sochowa natężyła umysł, w skupieniu szepce zaklęcia, my zaś trzymamy dłonie na stoliku, współdziałając z wywołującą ducha i myślimy o jego ziemskiej postaci.

Po kilku minutach odczułam, że ciało me ogarnęła niewidoczna siła. Panuje cisza, a talerz zaczął wirować po alfabecie, napisanym na płycie stolika. Zjawił się duch Dmowskiego. Sochowa zadawała pytania i odczytywała przepowiednie. „Długo tutaj nie będziecie. Za półtora roku opuścicie ten kraj. Pojedziecie na południe, do ciepłych stron”. Przepowiednia ta wywarła na nas wielkie wrażenie. Zaczepiliśmy wiarę w lepsze jutro.

Pod koniec pierwszej dekady grudnia, zatrudniono mnie w hafciarni, bowiem nadszedł transport koszul. Wyszywamy kołnierze, gors i dół koszuli, które mężczyźni noszą po wierzchu. W hafciarni pracują Polki, za wyjątkiem jednej Rosjanki, przydzielonej do przyuczenia. W rzeczywistości spełnia rolę

przyzwoitki NKWD. Klientkami są dwie „towariszki”, żony głównych szyszek NKWD. Żona naczelnika przychodzi we futrze z popielic, zaś żona zastępcy naczelnika, w płaszczu. Obie przynoszą do wyszywania obrusy, sukienki i różne kapki. Towary są lichego gatunku, pochodzą ze specjalnych przydziałów.

Z Mietkiem utrzymuję ożywiony kontakt, nawet otrzymałam fotografię, która wywołała łyzy radości. Mama, w sprawie ojca, wniosła podanie do Moskwy i z niecierpliwością czekamy odpowiedzi.

Od 15-go grudnia toczymy w pracowni rozmowy o świątach Bożego Narodzenia. Wspominamy nasze polskie potrawy, torty, frykasy. Lwią część rozmów pochłaniały pieczywa i pieczenie. Urdżar pokryty grubą warstwą śniegu. Chłopcy nasi - Zygmun Urban i dwóch Szramów - oczyszczają podwórze artelu ze śniegu. Są pod budynkiem hafciarni i żywo dyskutują.

- Posłuchajmy, o czym oni tak głośno dyskutują? - powiedziałam.

W pracowni nastąpiła cisza. Z podwórza dochodzi nas wyraźny głos Zygmunta:

- A ja wam mówię, że najlepsze sznyce są z mięsa mieszanego: wołowiny, cielęciny i wieprzowiny.

Wybuchnęliśmy śmiechem. Chłopcy podchodzą pod okno i pytają o przyczynę śmiechu. W Rosji każdy, kto żyje, myśli o jedzeniu.

Dwa dni przed świątami Bożego Narodzenia otrzymałam od Mietka list, tak pisze: „To pewno ostatnie święta, które spędzamy oddzielnie. Niech ci święta osłodzi pewność, że wszystkie moje myśli, uczucia, tęsknoty, są przy tobie, moja żoneczko. Gorąco całuję drobne twe rączką i najdroższą buzię.”

Wigilia przypadła w poniedziałek, w artelu wre praca. Kłujemy igłami w szorstkie płótno, a w pracowni panuje cisza. My Polki uniosłyśmy nasze myśli ku minionym świątom. Twarze nasze pokryte smutkiem, myśli blakają się po Polsce, zaś moje myśli są we Lwowie na ulicy Gołąba. Na sklepieniu niebios zabłysła pierwsza gwiazda, zwiastun wieczery wigilijnej. Na podwórzu artelu słyhać kłatwy. To Rosjanie zohydżają matkę, nie tylko swoją, ale i matkę Chrystusa. Zanosimy szeptem modlitwy o nawrócenie ich do Boga.

Mama od rana, w jednym garnku, ustawionym na czterech ceglach, gotowała wieczerę wigilijną. Po środku izby ustawiliśmy z trudem zdobytą skrzynię po mydle. Okryliśmy skrzynię obrusem. Na murku okna tliła się kopcząca lampka, zrobiona ze słoika. Usiadłyśmy na ławie, w pustej izbie koło „stołu” wigilijnego.

Za oknem step, preraźliwie wyl wicher, niebo pokryte roziskrzonymi gwiazdami, a z oczu naszych płynęły łyzy. Lila otrzymała od ojca list świąteczny z opłatkiem. Wśród łez podzieliłyśmy opłatek, po czym spożyły barszcz, rybę z ziemniakami i skombinowaną sałatkę. Po wigilii poszłyśmy do Hłodzików. Podeszłyśmy pode drzwi i zaintonowały, jak ci lwowscy kolędnicy: „Przybieżeli do Betlejem pasterze”, a Hłodzikowie wybuchnęli płaczem. Świąt nie mamy,

pracujemy w hafciarni, jak w każdy inny dzień, za to w sercach mamy głęboką wiarę. Niewolniczą pracę wykonujemy milcząco i szepcemy modlitwy.

Mróz spotęgował. Rano i wieczorem osiąga -40 stopni C, ale w południe miło grzeje słońce i topi śnieg. Nie przywykłyśmy do takich przeskoków temperatury. Rano Rosjanki wołały do mnie, abym natarła twarz śniegiem, gdyż mam oszronioną.

Cdn.

Tadeusz Bukowiński

Pamiętamy

„Wid małoho
do staroho
wsich Lachiw wyrizaty
spałyty wsi chaty”.

Takie upowskie hasła i zawołanie
nim zaczęto masowe mordowanie
krwią polskich kobiet i dzieci
chcecie zmyć zbrodnie bandyci

Dmytro Doncow karmił ideologią zbrodniczą
by nieść śmierć, jeszcze dziś upowcy nie milczą
świat żywych pamięta nasze polskie kobiety i dzieci
zamordowane, zbeszczeszczone i ten rok czterdziesty trzeci
świat żywych pamięta męczeńską śmierć kapłanów
z świętą hostią w ręku i krew z odciętych głów

jeszcze dziś po zgliszczach chat
gdzie żył nasz starszy brat
czuć udrękę w sercu i dymu zapach
spalonych domów po „zarizanych Lachach”

zamiast pomnika Kłyma Sawura i Czuprynki
postawcie pomnik zamordowanej dziewczynki
by dumny z pomnika Taras Szewczenko
zasiał garścią poety zgody ziarenko

Wypisy z „Gazety Lwowskiej” cz. I

Red. Na ukraińskiej stronie internetowej www.libralia.ua znajdują się m.in. skany „Gazety Lwowskiej” z lat 1943-1944 (ostatnie wydanie z 17.07.1944 r.). Na niektórych stronach są ciekawe wiadomości z pow. Przemyślany. Natomiast nie ma w tym dzienniku ani słowa o napadach ukraińskich nacjonalistów na Polaków. Na palcach jednej ręki można znaleźć nekrologi rodaków, a jeśli już takie były to powodem śmierci była z reguły „gwałtowna śmierć”. Na początku roku 1944 coraz częściej pojawiały się ogłoszenia o rabunkach i skradzionych dowodach osobistych (Kennkartach).

Ofiarność społeczna. Ludność polska wsi Wyżniany ofiarowała 1250 zł na rzecz pomocy uchodźcom (z Wołynia - dop. J.W.), zaś ludność wsi Hanaczów 1100. Polacy w Oleska ofiarowali 1000 zł dla Polskiego Komitetu Opiekuńczego (PKOp.) w Złoczowie oraz 6 korców zboża. („GL” z 9.09.1943 r.)

Delegatura w Świrzu. Świrz należy do tych wsi, które zachowały charakter małomiasteczkowy. Posiada bezwzględną większość ludności polskiej, licząc 1976 Polaków. Utworzenie w maju br. Delegatury PKOp., która w ostatnim czasie w pełni rozwija swą charytatywną działalność, okazało się koniecznym, gdyż wiele rodzin nie posiada obecnie żadnego źródła dochodów. Miejscowe społeczeństwo przychylnie. ustosunkowuje się do akcji pomocy. W miesiącu sierpniu ofiarowało 74 kg produktów żywnościowych oraz różne przedmioty potrzebne do uruchomienia kuchni ludowej, którą otwarto w dniu 16 ub. miesiąca. Z posiłków w kuchni tej korzysta na razie 39 osób. W sierpniu wydano 434 obiady. („GL” z 30.09.1943 r.)

Z ofiarności społecznej. Delegatura w Glinianach obejmuje opieką 117 rodzin, w tym 479 dorosłych i 171 dzieci W mieście i po wsiach łącznie. W ub. miesiącu wydano 795 posiłków bezpłatnych, z których skorzystało 25 dzieci i 19 starszych. Punkt dożywiania przy kuchni ludowej wydał 1140 śniadań bezpłatnie, z których skorzystało 77 dzieci. Pomocy lekarskiej udzielono 12 osobom.

Ludność polska Zadwórza na cele PKOp. kwotę 341 zł, zaś Polacy gromady Firlejówka zebrali datki na ten sam cel 188 zł. W Przemyślanach 230 Polaków złożyło na cele pomocy charytatywnej 4906 zł. („GL” z 25.10.1943 r.)

Gliniany - miasto kilimów. Gliniany należące do powiatu przemysłańskiego odznaczają się nie tylko urodzajną pszeniczną ziemią i wysoko rozwiniętą kulturą rolną, ale również stanowią ośrodek przemysłu tkacko-kilimkarskiego. Oprócz

tego we wsiach takich jak Turkocin, Stanimir rozwija się sadownictwo i pszczelarstwo. Wsie pod względem zewnętrznym przedstawiają się również dodatnio w przewodzie murowanych domów krytych blachą i odznaczających się czystością.

Przemysł kilimkarski popularyzował się wśród ludności i zataczał coraz szersze kręgi dzięki temu, że przygotowawcze stadium jak np. czyszczenie i farbowanie surowca wykonywały przedsiębiorstwa fabryczne, a tkanie odbywało się na warsztatach w domach. Stąd gliniańskie płótno, ręczniki i inne tekstylne wyroby odznaczały się pierwszorzędną jakością.

W r. 1941 utworzono w Glinianach 3-letnią szkołę fachową tkacko-kilimkarską, przy której stworzono również oddział krawiecki. W czterech oddziałach uczy się młodzież w liczbie 100 uczniów, z których większość uczęszcza na oddział krawiecki. Połowa uczniów, to dzieci wiejskie, które się rekrutują z okolicznych miejscowości. („GL” z 6.11.1943 r.)

Ofiarność społeczna w okręgu złoczowskim. (...) Delegatura w Glinianach zdołała uzyskać od okolicznej ludności polskiej na rzecz pomocy dla uchodźców następujące dary: Polacy w Glinianach złożyli w gotówce 735 zł, w Wyżnianach 1253 zł 40 gr. i 219 kg zboża, w Kurowicach 761 zł, w Pełtwi 407 zł 50 gr. i 117 kg zboża, w Hanaczowie 285 zł., w Rozwożanach 338 zł., w Sołowej 162 zł., w Stanimierzu 140 zł, w Poluchowie Wielkim 130 zł, w Alfredówce 110 zł, w Bogdanówce 30 kg mąki, w Żeniowie 100 zł.

Ponadto to zebrano w powyższych miejscowościach na ogólne cele PKOp. 1368 zł. i 230 kg produktów. Z zebranych ofiar Delegatura przekazała do Złoczowa kwotę 3000 zł. („GL” z 24.01.1944 r.)

Podział administracyjny dystryktu Galicja. Poza Lwowem, który jest samodzielną wyłączoną jednostką administracyjną, dystrykt Galicja rozpada się na 11 Kreis'ów (obwodów, okręgów), które dzielą się na pomniejsze obszary zarządu tzw. Landkomissariaty.

Wyliczymy je wszystkie, porządkując Kreis'y alfabetycznie i podając w nawiasach nazwy Landkomissariatów, przy czym gdy się w nawiasach powtarza nazwa Kreis'ów należy to rozumieć tak, że administrację tego mniejszego terenu odpowiadającego Landkomissariatowi sprawuje nie Landkomissar tylko Kreishauptmann, który poza tym jest zwierzchnym dla wszystkich Landkomissariatów swego Kreis'u.

Podział więc na Kreisy i Landkomissariaty przedstawia się następująco:

Brzeżany (Brzeżany, Podhajce, Rohatyn); Czortków (Czortków Buczacz, Borszczów, Kopyczyńce, Zaleszczyki); Drohobycz (Drohobycz. Sambor, Turka); Kamionka Strumiłowa (Kamionka Strumiłowa, Sokal, Radziechów, Busk); Kołomyja (Kołomyja, Kosów, Horodenka, Śniatyn); Lwów-wieś (Lwów-

wieś, Sądowa Wisznia. Gródek, Bobrka, Żółkiew); Rawa Ruska (Rawa Ruska, Lubaczów); Stanisławów (Stanisławów, Kałusz, Tłumacz, Nadwórna, Delatyn); Stryj (Stryj, Chodorów, Skole, Dolina); Tarnopol (Tarnopol, Zborów, Zbaraż, Skala, Trembowla); Złoczów (Złoczów, Brody, Przemyślany).

Razem jest tych pomniejszych jednostek 43 a odpowiadają one mniej więcej dawnym powiatom polskim. Z natury rzeczy siedzibą Kreishauptmanna jest miasto, którego nazwa jest nazwą Kreis'u. Rzeczą osobliwą jest w tym to, że jeden z Kreis'ów nie ma swego urzędu w mieście. Dotyczy to Keis'u Kamionka Strumiłowa — gdyż Kamionka Strumiłowa nie ma praw miasta; istnieją tylko dwie gminy wiejskie tej nazwy: Kamionka Strumiłowa Północ i Kamionka Strumiłowa Południe. („GL” z 11.02.1944 r.)

Przypomnienie o sygnałach obrony przeciwlotniczej.

Pierwszy sygnał „publiczne ostrzeżenie lotnicze” w formie trzech nieprzerwywanych wysokich tonów w ciągu minuty, ogłaszanych za pomocą syreny, oznacza, że w obrębie ostrzeżonego obszaru znajduje się kilka nieprzyjacielskich samolotów, w związku z czym należy być przygotowanym na zrzucenie pojedynczych bomb i akcję artylerii przeciwlotniczej. Wobec tego, że nie ma wówczas niebezpieczeństwa wielkiego nalotu, życie gospodarcze i ruch bieżą nieprzerwanie. Osoby niezatrudnione w życiu gospodarczym i ruchu uczynią rozsądnie, jeżeli przynajmniej podczas akcji artylerii przeciwlotniczej udadzą się do schronu.

Drugi sygnał „alarm lotniczy” ogłasza się za pomocą syreny w formie jednonutowego wznoszącego się i opadającego tonu wyjącego. Po tym sygnale wszelki ruch musi być bezzwłocznie wstrzymany. Wszyscy powinni jak najszybciej zejść do przeciwlotniczych schronów i bunkrów.

Trzeci sygnał „poalarmowe ostrzeżenie lotnicze” ogłasza się za pomocą



Szkolenie ukraińskich esesmanów z 14 Dywizji SS „Galizien”.
Niemiecki podoficer sprawdza przed obiadem czystość rąk Ukraińców.
(*Lwowski Wisti* z 19.09.1943 r.)

syreny w formie trzech nieprzerywanych, wysokich tonów w ciągu minuty. Sygnał ten jest zatem taki sam, jak sygnał pierwszy - „publiczne ostrzeżenie lotnicze”. Trzeci sygnał oznacza, że główna masa nieprzyjacielskich samolotów odlatuje, lecz nad daną miejscowością są jeszcze pojedyncze samoloty. W związku z tym mogą spaść pojedyncze bomby, jak również artyleria przeciwlotnicza może być w akcji. Zasadniczo jednak z wielkim niebezpieczeństwem nie należy się więcej liczyć. Po sygnale „poalarmowe ostrzeżenie lotnicze” formacje obrony własnej przystępują bezzwłocznie do zwalczania szkód. (GL z 28.02.1944 r.)

Zamek w Świrzu. Wśród egzotycznej przyrody cudownego zakątka województwa tarnopolskiego, urzeźbionego w bogate formy kopuł i płaskich pagórków przez rzeki płynące kapryśnymi dolinami z Gołogór, rozrzuconych na stromej krawędzi płyty czarnomorskiej, na tle przepięknego krajobrazu, na odosobnionym wzgórzu, otoczonym niegdyś moczarami, dziś częściowo osuszonymi, w miejscu trudnym do zdobycia, wznosi się zamek świrzański, jeden z najpiękniejszych zamieszkałych zamków na naszych ziemiach.

Od strony południowej, naprzeciw warowni znajduje się drugie wzgórze, a na nim baszta zamkowa, oddzielona od zamku głębokim jarem przeciętym drewnianym mostem, dawniej zwodzonym.

Wytworne i oryginalne linie renesansowej architektury tego zamku, uczyniły zeń ciekawy i cenny klejnot sztuki polskiej. Basztę zamkową, okna i drzwi upiększają renesansowe ozdoby z herbami, kute w kamieniu, przypominające ornamentykę Wawelu.

Według źródeł historycznych, zamek w Świrzu został wybudowany w XVI w. przez Świrskich. Już jednak w połowie XVII w. przeszedł on w ręce Cetnerów. Aleksander Cetner przebudował zamek w stylu renesansowym, którego piękną architekturę, dzięki szczęśliwym kolejom losu, dziś jeszcze możemy podziwiać. (GL z 30.04.1944 r.)

Naokoło „Rozumnej Doliny”. O cztery kilometry od Glinian na północny wschód, a o sześć kilometrów od stacji kolejowej w Zadwórzcu, leży malownicza wieś Żeniów nad rzeką Przegnojówka, której spiętrzone wody tworzą tu sztuczny staw. Przy nim mieści się młyn wodny mogący być również poruszany parą. Chaty toną w zieleni drzew, a bogactwo kwiecica w licznych sadach sprzyja rozwojowi pszczelarstwa. We wsi znajduje się cerkiew pod wezwaniem św. Dymitra i dwie szkoły: polska i ukraińska.

Mieszkańcy Żeniowa, w szczególności kobiety, odznaczają się żywym temperamentem, a podkreśla go miejscowa legenda o dawnym sporze między uzbrojonymi w kociuby kobietami żeniowskimi a chłopami z sąsiedniej Pełtwi o łąkę, położoną nad rzeką Pełtwią, zwaną dziś „Rozumna Dolina”. Spór - jak zwykle spory między tego rodzaju przeciwnikami - zakończył się zwycięstwem

kobiet, a od tego czasu żeniowskie kobiety zwa „kociubami”.

Lecz oto weszliśmy w pobliską wieś Połtew, o 4 km na północny wschód od Glinian, ujętej opływem od strony południowej i wschodniej przez rzekę, której źródła znajdują się w odległości 35 km w gradzie stołecznym, we wschodniej części naszego kraju. Osiedle od rzeki nazwę swą otrzymało, więc też niewłaściwie zwane jest niekiedy Pełtew. Prawie ze wszech stron otoczone jest lasami szpilkowymi. Na południowy wschód od wsi tworzyła rzeka przed wielu laty staw rybny, który w ostatnich dziesiątkach lat wysechł. W tym mniej więcej miejscu ciągnie się wspomniana wyżej „Rozumna Dolina”. Od kilkunastu lat wody rzeki, ujętej w karby, płyną uregulowanym korytem.

Cechą charakterystyczną jest w Połtwi układ zagród wzdłuż jednej ulicy, tak że nie ma właściwie bocznych dróg. Część północna wsi, ciągnąca się do toru kolejowego zwana „Na Wygonie”, wyrosła dopiero w ostatnim dziesiątku lat, dzięki powstaniu przystanku kolejowego. Żyzna ziemia dała podstawę rozwojowi rolnictwa. Prócz tego mieszkańcy zajmują się hodowlą bydła. W zachodniej części znajduje się wzorowy folwark, przy którym pobudowano czworaki oraz gorzelnia z wysokim, czarnym kominem. Połtew ma dwie świątynie: mały kościółek „Na Wygonie”, wzniesiony przed dziesięciu laty i nową, murowaną cerkiew z kopułą bizantyńską. Ponadto jest jeszcze kapliczka ormiańska, która w podziemiach swych kryje groby dawnych właścicieli - Ormian, Torosiewiczów. Być może, że bliskość rzeki utrwaliła w mieszkańcach zamiłowanie do czystości i porządku, jaki się obserwuje wokół zagród.

Dążąc z Połtwi na południowy wschód, po przez las dostaniemy się po czterech kilometrach do Bałuczyna, mówiąc ściślej do Podhoru, należącego do wsi Bałuczyn, już w obręb powiatu złoczowskiego. Połać to kraju równa, niska, moczarowata. Klimat łagodny, mieszkańcy zajmują się rolnictwem i hodowlą bydła. Na południu wsi mały folwark, dawna posiadłość hr. Łączyńskiego, później przeszedł w ręce żydowskie i podupadł. Jako niezbyt wielki co do obszaru folwark bałuczyński pozostawał ostatnio przez pewien czas pod wspólnym zarządem wspólnym z folwarkiem gliniańskim, odległym odeń o cztery km.

Na południowy zachód od Bałuczyna, za niewielkim lasem, a o 5 km na południowy wschód od Glinian leży wieś Przegnojów nad potokiem Przegnojówką. Na północny wschód, wschód i południowy wschód rozlewa się na potoku Przegnojówka staw, dziś już częściowo wyschnięty. Potok Przegnojówka, w górnym biegu zwany Jaktorowski, przejął nazwę od wsi Przegnojów. Przyjmuje on dopływy Hanaczówkę, Rogowiecki w Glinianach i Tymkowiecki (potok) w Laszkach. Wpada do Pełtwi we wsi Połtew.

Krąg miejscowości, otaczających Gliniany, zamknął się w naszej wdrowce naokoło Glinian. („GL” z 9.05.1944 r.)

Cdn.

Michał Kubiszyn

14 kwietnia banderowcy zabili mojego brata

Urodziłem się we wrześniu 1943 roku w Żędowicach. Mieszkałem z rodzicami i starszym bratem Jasiem w małym domku przed kuźnią, idąc w kierunku na Chlebowice Świrskie. Z okna naszego domku widać było ocembrowaną studnię, z której wybijało źródło. Do tej studni przychodzili mieszkańcy z całej wsi, czy to nabrać świeżej wody, czy to poniżej źródła uprać ubrania albo płótna.

Tragiczne wydarzenia, o których nie byłem świadomy, działały się jednak przy mnie i zaważyły na moim całym życiu. Szczegóły z tragicznego piątku 14 kwietnia 1944 roku znam z opowiadań mojej mamy, Anastazji, a gdy otrzymaliśmy zgodę na wyjazd z Ukrainy do Polski w 1955 r. również z opowiadań mojego ojca, Ignacego Kubiszyna.

W nocy, gdy wszyscy spali, do domu wtargnęli banderowcy uzbrojeni w siekiery i noże, wyłamując drzwi. Mama wstała z łóżka, zakrywając mnie pierzyną i spytała:

- Co wy chcecie?

W odpowiedzi dostała cios w głowę i zemdląła. Jako pamiątka tej nocy zostało jej wgniecenie na czole. Z posłania pod oknem wstał mój ojciec, który spał z moim 12-letnim bratem Jasiem. Napastnicy uderzyli ojca kilka razy obuchem siekiery w nadgarstek, łokieć, ramię i w głowę. Wtedy mój ojciec zalany krwią stracił przytomność. Mama odzyskując świadomość, usłyszała słowa jednego z napastników:

- Teraz małego, ale odwróć siekiere i wał ostrzem...

Tak zginął mój brat Jasiu. Według moich rodziców, którzy po latach rozmawiali na temat nocnych wydarzeń, jednym z napastników był syn Ukrainca z naszej wsi. Mieszkał naprzeciw stawu Nartowskiego i jako jedyny otrzymywał do domu gazetę. Napastnicy mieli zaplanowane kogo zabić, a kogo poturbować. Świadczą o tym rozmowy usłyszane przez moją mamę, którą stroną siekiery bandyta ma uderzyć.

Skoro świt ojciec poszedł do bliskiego sąsiada, gdzie spotkali się inni pobici i poranieni. Później ojciec ukrywał się w ziemiance i stodole, aż do niedzieli. W niedzielę rano, gdy mieszkańcy wsi poszli do cerkwi, rowem i przez las poszedł w kierunku Ostałowic. Po drodze spotkał zaprzęg konny z Ukrainką, która podwoziła go jakiś odcinek drogi. W Przemyślanach został opatrzony w szpitalu i dołączył do innych uciekinierów, którzy kopali rowy na rozkaz Niemców, przed ofensywą wojsk rosyjskich.

Dzień po zbombardowaniu dworca lwowskiego, wraz z innymi uciekierami, wyjechał pociągiem do Rzeszowa. Na miejscu wszyscy zostali rozlokowani po gospodarstwach rolnych do pomocy miejscowym. Moja mama ze mną i babcią została z całym dobytkiem w Żędowicach.



Anastazja i Ignacy Kubiszynowie.
Przed ojcem stoi syn Jan. Drugie dziecko
jest nieznanne. Żędowice, lato 1936 r.

wyjazdu (1955 r.) nie było go we wsi.

Moja mama pracowała w kołchozie a jedyną jej zapłatą za miesiąc pracy był worek zboża. W tamtych ciężkich czasach zmielone zboże to było święto w rodzinie, świeże ciasto i moje ulubione lane kluski z białej mąki. Jednego dnia w sieni stały dwa worki zboża. W tym czasie po domach w całej wsi krążyły komisje do walki z kułakami. Dojrzeli i zabrali jeden worek dla głodujących mieszkańców miast. Pamiętam jak dziś rozpacz mamy, która za część zboża planowała kupić mi ubranie i zimowe buty. Jak wszyscy mieszkańcy chodziłem do cerkwi, ponieważ nasz kościół katolicki został zamknięty.

Żyliśmy w ciężkich warunkach. Bez ojca, z ciągłymi zmianami miejsca zamieszkania. Nasz domek przy źródółku bez opieki ojca zaczął się rozspisywać

Pomordowani w nocy 14 kwietnia zostali pochowani w jednej zbiorowej mogile o rozmiarach 2 m na 2,5 m. Według słów mamy pochowano tam 5-6 osób obok siebie, a mojego brata położono w nogach pomordowanych. Na cmentarzu zbiorowy grób był umiejscowiony w obecnym układzie od głównego wejścia po lewej stronie za połowę długości cmentarza. W oddali w zaroślach znajduje się ruina grobowca rodziny Nartowskich. Dawniej wejście główne na cmentarz było przy tym grobowcu.

Po pogrzebie moja mama chodziła po wsi zapłakana i wyzywała morderców. Wtedy jeden z mieszkańców powiedział jej, że jak nie przestanie, to przyjdą i dokończą to, co było w nocy.

Po wejściu do wsi Rosjan aresztowano większość mężczyzn i wywieziono. Również mordercę mojego brata i do czasu naszego

i musieliśmy liczyć na władze wsi. Przeważnie dostawaliśmy mieszkania przydziałowe będące w opłakanym stanie. Przez pięć lat mieszkaliśmy w sześciu różnych mieszkaniach. Po śmierci Stalina nastąpiła zmiana i w maju 1955 roku dojechalśmy do ojca, którego nie widzieliśmy od czasu jego ucieczki z Żędowic.

Szkoła podstawowa była w tym samym budynku co przed wojną. Nauka odbywała się w języku ukraińskim. Ja gdy rozpocząłem naukę to w pierwszej klasie uczyłem się w języku ukraińsku. W drugiej klasie nastąpiła zmiana nauczycielki i naukę pobierałem w języku rosyjskim. Moja mama nie umiała pisać, dlatego też chodziła po prośbie do nauczycielki, która знаła język polski. W jej imieniu pisała listy do mojego taty, który pracował w cukrowni w Mełnie koło Grudziądza. Pracując w cukrowni dostawał deputat w cukrze. Kilka razy jeździł do sekretariatu Bieruta z prośbą o połączenie rodzin. Cukier jako łapówka zostawał w sekretariacie, a pozytywnej odpowiedzi doczekał się dopiero po śmierci Stalina.



- Przed szkołą w Żędowicach z roku 1942 mężczyzna stojący po lewej stronie zdjęcia to mój tata. Prawdopodobnie któryś z dwóch chłopców stojących przed nim to mój brat Jasiu, zamordowany tamtej nocy. Niestety, który to jest, tego mi nikt nie powie, ponieważ to zdjęcie pierwszy raz zobaczyłem w marcu 2018 roku, a moi najbliżsi już odeszli.

Na Ukrainie byłem w czwartej klasie i języka polskiego nie znałem. Dlatego w Polsce przyjęto mnie do klasy pierwszej, a od nowego roku szkolnego zostałem przyjęty do klasy czwartej. W szkole i na podwórku wołano na mnie „Rusek”. Największe kłopoty miałem z językiem polskim.

Opuściłem Żędowice gdy miałem 12 lat i nie interesowałem się tym,

kogo zamordowano oprócz mojego brata, bo byłem dzieckiem. W całej wsi spalono kilka domów, a sporo budynków stało pustych.

Bolesław Kopociński

Matematycznym okiem na urodzenia w parafii

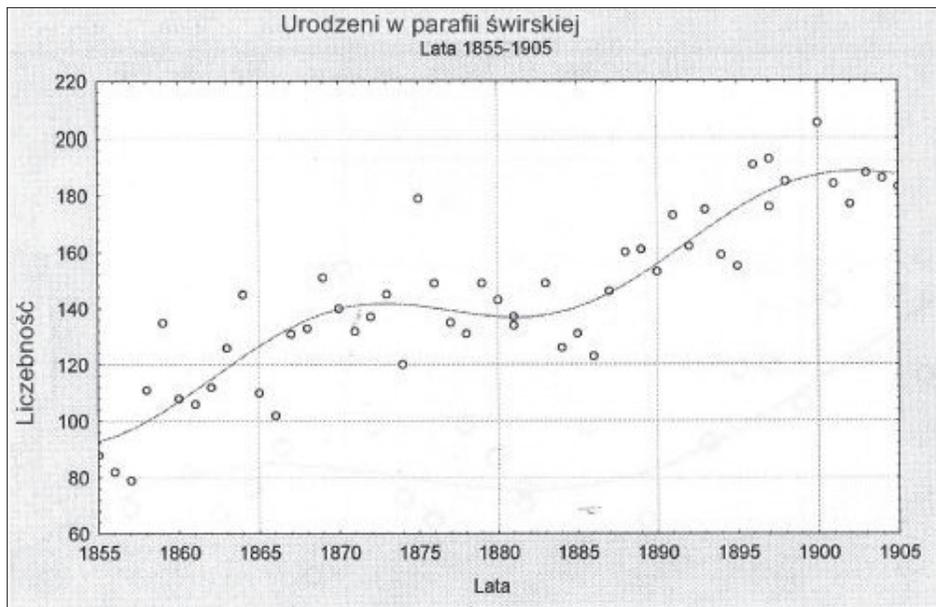
Stanisław Marciniak zaprezentował w poprzednim numerze (136) naszego Biuletynu liczby urodzin w parafii świrskiej, co było już wcześniej przedmiotem noty i komentarza w numerach 5(50) i 1(51). Analizując skrupulatnie wątpliwe zapisy archiwalne, skorygował tym samym niektóre zapisy. Nie będzie jednak zbyt niestosowne, jeśli niektóre fakty jeszcze raz skomentuję albowiem dla wielu naszych Czytelników gołe dane statystyczne mogą wydać się mało interesujące. Nie każdy bowiem lubi przyglądać się liczbom, a ja mogę to mu ułatwić. Na początek weźmiemy pod uwagę liczby urodzeń w poszczególnych latach.

Przedział czasu, którego dane dotyczą, jest zbyt długi, aby mógł być traktowany jako jednorodny, kilka ważnych czynników w owym czasie mogło na nie wpłynąć. Swoje uwagi ograniczę więc do lat 1855–1905.

To co specjalista może zobaczyć na liczbach, lepiej wychodzi na rysunku. Poniższy rysunek ilustruje liczby urodzin w owym czasie: na osi poziomej znajdują się lata, na osi pionowej liczebności urodzeń. Kółeczkami zaznaczono dane z tablicy S. Marciniaka, linia ciągła ilustruje przebieg funkcji liczebności wygładzonej matematycznie. Widzimy tu wyraźny trend wzrostu, o czym świadczy nachylenie krzywej. Widzimy także falowy charakter jej przebiegu, co w demografii nazywa się cyklami. Uważny Czytelnik zauważy niechybnie, niekiedy nawet znaczne, odchylenia kółeczek od przewidywanego matematycznie przebiegu. Tych odchyień nie potrafimy wyjaśnić na gruncie matematyki. Można to zrobić biorąc jakieś uzupełniające źródła, mogą one być spowodowane epidemią, klimatem, czy jakąś inną przyczyną losową.

Komentowane materiały statystyczne mają poważną wartość naukową, opisują bowiem bardzo rzetelnie małą społeczność lokalną. Przed laty, zaproponowałem jako temat pracy magisterskiej [2] w Uniwersytecie Wrocławskim, konfrontację owych danych z dawnymi lat z tymi bardziej współczesnymi. Wybór miejsca obserwacji padł na Zwierzyniec, miasteczko w dawnej ordynacji Zamoy-skich na Roztoczu. W wyniku tych badań okazało się, że wykres liczby urodzeń tamże był bardzo podobny, tylko nachylenie krzywej jest większe, a więc wzrost populacji szybszy. Okres fali okazał się być taki sam, bo to jest kwestia wieku rozrodczego kobiet. Rozproszenie punktów wokół krzywej okazały się mniejsze.

Przebieg liczby urodzeń w parafii świrskiej.



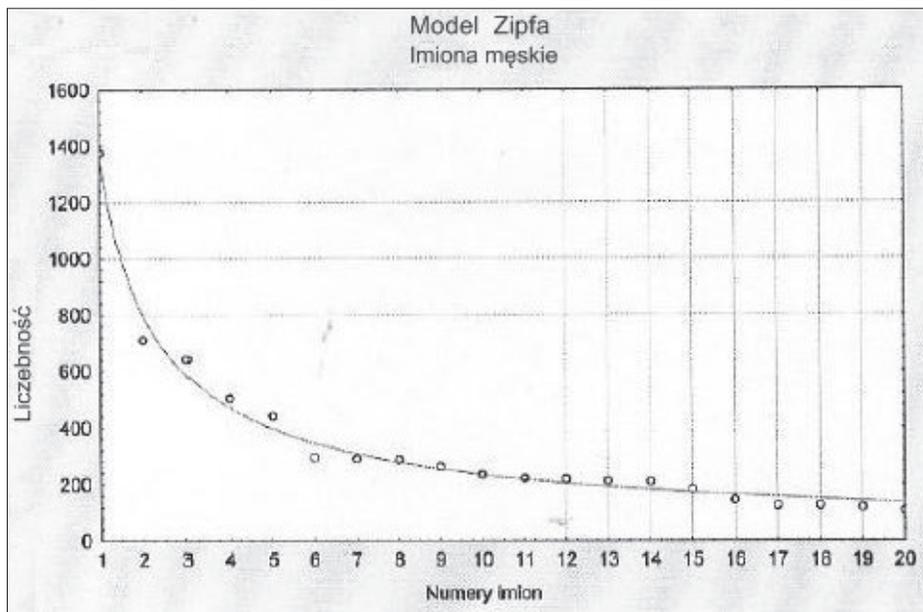
Można było nawet powiedzieć, o ile teraz życie ludzi mniej zależy od losu.

Stanisław Marciniak zajmuje się także statystyką imion dzieci ochrzczonych. Komentowanie tych liczb jest trudniejsze, ale można spróbować zmierzyć się i z tym wyzwaniem. Przedmiotem badań językoznawców bywają bowiem teksty analizowane pod względem liczby słów użytych. To samo dotyczy imion w materiałach pisanych. Okazuje się, że tymi wielkościami rządzą wspólne prawa i warto je sprawdzić także na naszym materiale.

Procesem kreowania imion rządzą, jak się wydaje, dwa sprzeczne dążenia. Jednym jest chęć odróżnienia w mowie i dokumentach jednych od drugich, dlatego dąży się do tego, aby w grupie imiona nie powtarzały się zbyt często. Z tego też powodu powinno się wybierać imiona rzadkie. Z drugiej strony, niektóre imiona są bardziej atrakcyjne od innych, a to ze względu na imię świętego patrona, kulturowe upodobania i na rodzinną tradycję. Różne sprzeczne czynniki wywierają więc nacisk na powtórzenia, a w wyniku ich działania, można spodziewać się powstania prawa matematycznego, regulującego zjawisko. W językoznawstwie uznanym jest tu prawo Zipfa, które głosi, że logarytmy liczebności imion w grupie słów uporządkowanych malejąco, są liniową funkcją ich pozycji na liście. (Proszę wybaczyć zamieszczenie tu owej definicji, a zwłaszcza użyte słowa logarytm i funkcja liniowa. Ale ci, co te pojęcia znają, widzą, że nie jest to zaawansowana matematyka!)

Temat imion można rozwijać na wiele sposobów, co może być przedmiotem oddzielnych opracowań, na przykład zbadania zapożyczeń od Rusinów lub innych grup etnicznych. W badaniach lingwistycznych jest jeszcze jeden frapujący temat, a mianowicie proces pojawiania się nowych słów. Tutaj możemy pomyśleć o pojawianiu się nowych imion, dotąd jeszcze nie użytych. I nie chodzi tu o dzieciinną słowotwórczość, z jakiej dzisiaj nie wyrasta wielu piszących, ale słowa istniejące, dotąd nie użyte w dokumencie. Czekanie na nowe imię żywo przypomina problem rekordów i czasów między rekordowych w sporcie. To pokazuje, jak matematyka wnika i łączy bardzo odległe dziedziny życia.

Ilustracja prawa Zipfa dla imion męskich w parafii świrskiej.



Prawo Zipfa sprawdziłem na przykładzie liczby powtórzeń imion męskich z danych S. Marciniaka. Na rysunku, na osi poziomej znajdują się liczby 1,2,3... odpowiadające kolejno imionom Jan, Józef, Michał, itd. z listy. Na osi pionowej są liczebności, a krzywa przedstawia przebieg funkcji liczebności, wynikający ze wspomnianego prawa. Czytelnik sam oceni, jak doskonale prawo to potwierdza się tutaj. Ta niezwykła zgodność pokazuje, jak dokładnie można opisać zachowanie się grupy, nie naruszając w niczym swobody wyboru jednostki.

Jakkolwiek nie ma to żadnego związku z tematyką tego pisma, pozwolę

sobie przywołać jedno z moich badań własnych z modelowania matematycznego przejawów życia codziennego [3]. Jak wiadomo sezon piłkarski 1939 roku został przerwany na skutek najazdu państw ościennych na Polskę. Pozostało interesujące pytanie, kto miał wtedy największe szanse na mistrzostwo. Szukając odpowiedzi na nie, sezon 1938 roku wykorzystałem do poznania mechanizmów ligi; wpływu mocy drużyn na wynik meczu, atutu własnego boiska itp. Rezultaty meczów rozegranych w 1939 roku pozwoliły wyliczyć aktualne moce drużyn, a wszystko to razem umożliwiło przewidywanie poszczególnych wyników meczów nierozegranych. I jakkolwiek rezultat każdego meczu bardzo zależy od przypadku, tabela ligi już znacznie mniej. Mistrzem wtedy powinien być zostać Ruch Chorzów, Pogoń Lwów znalazłaby się na drugim miejscu.

Korzystając z monografii [2] Zbigniewa i Krzysztofa Kopocińskich, opisujących rodzinę, sprawdziłem częstości występowania imion osób urodzonych pod moim nazwiskiem w powiecie przemysłańskim w podobnym przedziale czasu. Były to: Jan 20, Stanisław 16, Michał 13, Józef 9, Władysław 5, Maria 13, Katarzyna 10, Anna 7, Julia 6, Stanisława 6.

Te zestawy imion nie odbiegają zbyt od świrskich, gdzie najbardziej popularnymi imionami męskimi były Jan, Józef, Michał, a żeńskimi Maria, Katarzyna i Anna.

Prawo Zipfa, jakkolwiek pracuje teraz na nieco zmienionym zestawie słów, jest także spełnione. Czytelnik sprawdzi, już bez używania matematyki, jak wygląda jego rodzinna tradycja na tle wymienionych dwóch grup ludności.

Materiały pomocnicze

[1] Z. Kopociński, K. Kopociński, *Kopocińscy. Szkic do portretu*, Żary 2008.

[2] A. Nocko, *Analiza statystyczna danych demograficznych*, Praca magisterska, Instytut Matematyczny Uniwersytetu Wrocławskiego, 2004.

[3] B. Kopociński, *Unfinished league season of football*, „*Demonstratio Mathematica*”, 34(2), (2001), 461–468.

Andreas Umland

Ukraiński rządowy instytut pamięci przeciw Zachodowi (cz. I)

Pamięć historyczna i pojednanie narodowe są kwestiami drażliwymi – zwłaszcza gdy dotyczą one wielkich wojen, masowego mordy i cierpienia milionów ludzi w raczej niedawnej niż odległej przeszłości. Pamięć

Ukrainy o sowieckiej historii narodu dotyczy przede wszystkim ogromnej liczby ofiar bolszewickiego i nazistowskiego panowania i wojen na Ukrainie. Miliony Ukraińców – wraz z milionami innych ofiar – żyjące na „skrwawionych ziemiach” („Bloodlands”, Timothy Snyder) zostały zabite i sterroryzowane przez dwa najbardziej zbrodnicze reżimy totalitarne Europy. Jednocześnie setki tysięcy Ukraińców kolaborowały w mniejszym lub większym stopniu z obu morderczymi machinami – jest to poważne wyzwanie dla ukraińskiej polityki pamięci.

Postsowiecka historia Ukrainy i ukraińska pamięć historyczna

Ten i tak przerażająco trudny intelektualnie, poznawczo i emocjonalnie test jest jeszcze bardziej utrudniany przez fakt toczenia obecnie przez Kijów wojny o przetrwanie z głównym negatywnym bohaterem swojej pamięci narodowej – Moskwą. Przeważnie ponad przeciętnie ambitna, cyniczna i bezwzględna, polityka zagraniczna Kremla i powiązany z nią dyskurs publiczny od niedawna ponownie są sterowane przez nieskrywany agresywny imperializm i ambiwalentne podejście do Ukrainy (miłość-nienawiść), graniczące z psychopatią. Dodatkowo jest to komplikowane przez obecność na Ukrainie znacznej rosyjskiej mniejszości etnicznej – około 17 procent ludności, częściowo lojalnej raczej wobec Moskwy niż Kijowa. Sterowane manipulowanie tematami pamięci narodowej, historii najnowszej oraz stosunków międzyetnicznych, nie tylko w polskich mass mediach i sieciach społecznościowych, jest nieodłączną częścią tzw. hybrydowej wojny Rosji z Kijowem. Atak Kremla przeciwko narodowi ukraińskiemu jest dokonywany z zastosowaniem wielu militarnych i pozamilitarnych, „twardych” i „miękkich” instrumentów, codziennie. Aktywnie wykorzystuje kontrowersyjne kwestie historyczne, a jego celem jest zniszczenie państwa ukraińskiego raczej od wewnątrz niż z zewnątrz.

Ta wystarczająco osobliwa konstelacja jest jeszcze bardziej wyjątkowa z uwagi na ukraińską politykę pamięci, wywołującą daleko idące konsekwencje dla stosunków międzynarodowych. Dotyczy to zwłaszcza interpretacji, oceny i upamiętniania (nie)sławnej frakcji Bandery Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN-B) z okresów międzywojennego oraz II wojny światowej. Obecnie faworyzowana przez klasę rządzącą i dużą część elit intelektualnych Ukrainy, oficjalnie afirmacyjna klasyfikacja OUN jest głęboko kontrowersyjna dla rosyjskojęzycznych obywateli Ukrainy, zagranicznych partnerów i prozachodniej inteligencji. OUN jednocześnie była normatywnie (choć nie geograficznie) anty-Zachodnia i demonstracyjnie antysowiecka. OUN jest obecnie postrzegana przez wielu Ukraińców jako organizacja antytotalitarna i wyzwolenicza. Jednak ultranacjonalistyczne, etnicznie oczyszczone i monistyczne jednopartyjne państwo, wizję którego pielęgnowała frakcja Bandera przynajmniej aż do początku lat 1940., musiałoby automatycznie stać się nieliberalną i totalitarną dyktaturą.

Przywódcy i ideologowie OUN byli wyznawcami etnocentryzmu i ksenofobami. Jednocześnie wielu z nich oddało życie swoje i swoich rodzin w walce o niepodległość Ukrainy. Niektórzy ukraińscy nacjonałści – w tym co najmniej jeden brat Stepana Bandery – zostali zabici przez nazistów, ale większość zginęła podczas walki z reżimem stalinowskim. Zarówno założyciel OUN, jak i najbardziej kultowy jej lider padli ofiarą spektakularnych zamachów dokonanych przez sowieckich agentów specjalnych na Zachodzie: Jewhen Konowalec został zabity przez agenta NKWD w Rotterdamie w 1938 roku, a Stepan Bandera został zamordowany przez agenta KGB w Monachium w 1959 roku.

Choć kwestie pamięci narodowej mogą być drażliwe także w innych krajach, dla państwa ukraińskiego przedstawiają unikalną, ale niezwykle toksyczną kombinację wybuchowego potencjału grożącego podziałami wewnątrz kraju i na arenie międzynarodowej. Stało się więc niespodzianką, że post-Euromajdanowe kierownictwo Kijowa zdecydowało się oddać główny oficjalny organ rządowy, odpowiedzialny za sprawy pamięci, w ręce grupy stosunkowo młodych aktywistów nie legitymujących się uznanymi w świecie akademickim osiągnięciami naukowymi. Ukraiński Instytut Pamięci Narodowej (UINP) umocowany przy Gabinetie Ministrów Ukrainy znalazł się w 2014 roku pod kontrolą kręgu nacjonalistycznych publicystów, nie mających wcześniej praktycznie żadnych powiązań z ukraińskimi instytucjami akademickimi i dysponującymi ograniczonym doświadczeniem w kontaktach międzynarodowych.

Aktualnie personel UINP jest ściśle powiązany z marginalną, ale wytrwale i ciężko pracującą galicyjską organizacją pozarządową o nazwie Centrum Badań Ruchu Wyzwoleńczego (CDWR). Głównym celem znaczącej działalności wydawniczej (książki) i aktywności medialnej CDWR jest realizacja apologetycznej wizji OUN-B w oczach opinii publicznej i prowadzenie hagiograficznego oficjalnego dyskursu na temat jej przywódców z czasów wojny: Stepana Bandery, Romana Szuchewycza, Jarosława Stećki i innych. UINP połączył obecną kampanię dekomunizacji z wdrażaniem kompleksowej nacjonalizacji i częściowej „banderyzacji” w pamięci publicznej i w oficjalnym dyskursie. Jest to aktywnie wspierane przez CDWR, prezentujące wojenny ukraiński ruch ultranacjonalistyczny jako szczyt ukraińskiego patriotyzmu i umiłowania wolności. Chociaż to UINP bezpośrednio wpływa na decyzje zapadające w kierownictwie Ukrainy, to CDWR wywiera wpływ na proces legislacyjny Ukrainy jako członek słynnego sojuszu organizacji społecznych „Reanimacyjny Pakiet Reform”, związanego w celu opracowywania i przeforsowywania reform prawa w Radzie Najwyższej.

Coraz bardziej zadziwiającym aspektem działalności UINP i CDWR w sferze ukraińskiego rynku wydawniczego, dziennikarstwa, edukacji, lobbingu, nazewnictwa geograficznego itp. jest to, że dokonuje się wbrew rezultatom krytycznych badań OUN-B; w ciągu ostatniej dekady nastąpił intensywny wzrost

ich ilości w instytucjach akademickich na Ukrainie, w Unii Europejskiej i Ameryce Północnej. Na przykład Niemcy ujrzały w ciągu ostatnich lat pojawienie się, wśród innych publikacji naukowych, trzech masywnych monografii, podkreślających szczegółowo określone aspekty historii OUN-B. Frank Golczewski, emerytowany profesor na Uniwersytecie w Hamburgu, w 2010 roku opublikował 1000-stronicowe studium stosunków niemiecko-ukraińskich w latach 1914-1939, *Deutsche und Ukrainer* (Schoeningh Press), zajmujące się m.in. utworzeniem OUN i jej interakcją z przedwojenną III Rzeszą. Grzegorz Rossoliński-Liebe, pracownik naukowy na Wolnym Uniwersytecie w Berlinie, w 2014 roku opublikował 650-stronicową biografię Stepana Bandery, *The Life and Afterlife of a Ukrainian Nationalist* [ibidem Press], opisującą, dłaczego ruch Bandery powinny być postrzegany jako ukraińska permutacja wschodnioeuropejskiego faszystwu. Kai Struve, profesor na Uniwersytecie w Halle-Wittenberg, opublikował w 2015 roku 700-stronicową monografię o antyżydowskich pogromach na zachodniej Ukrainie latem 1941 roku, zatytułowaną *Deutsche Herrschaft, ukrainischer Nationalismus, antijüdische Gewalt* [De Gruyter Oldenbourg], pokazującą głębokie zaangażowanie OUN-B w antysemitkę przemoc już w pierwszych tygodniach wojny niemiecko-sowieckiej.

Treść i rezultaty apologetycznej i hagiograficznej polityki pamięci Ukrainy autorstwa rządowego UINP i pozarządowego CDWR są przede wszystkim problemem samym w sobie. Uniemożliwiają one Ukraincom uporanie się z ich niedawną przeszłością. Ze względu na głęboki resentment, z jakim spotykają się w rosyjskojęzycznej części Ukrainy, utrudniają rozwój jednolitego politycznego narodu ukraińskiego. Działalność UINP/CDWR została skrytykowana z perspektywy nauki historycznej, stosunków międzyetnicznych, pamięci narodowej, spójności społecznej, standardów etycznych i odpowiedzialności moralnej. Oprócz tych perspektyw może być ona również analizowana z punktu widzenia priorytetów polityki zagranicznej Kijowa, a zwłaszcza w kontekście aspiracji Ukrainy do głębokiej integracji europejskiej.

Polityka historyczna UINP i przemysł wydawniczy CDWR dotyczą czterech głównych tematów w życiu publicznym powojennego Zachodu, które są istotne dla aktualnych stosunków zagranicznych Ukrainy:

- (1) antynacjonalistyczna siła sprawcza integracji europejskiej,
- (2) centralne miejsce Holokaustu we współczesnej myśli zachodniej,
- (3) nowoczesne kryteria oddzielające dyskurs naukowy od dyskursu nie-naukowego, jak również
- (4) znaczenie Polski dla spraw związanych z Europą Wschodnią i Niemiec w polityce europejskiej.

Cdn.

Andreas Umland jest starszym pracownikiem naukowym Instytutu Euro-Atlantyckiej Współpracy Institute for Euro-Atlantic Cooperation w Kijowie, generalnym redaktorem

serii wydawniczej „Sowiecka i postsowiecka polityka i społeczeństwo” i redaktorem konsultantem „Dziennika sowieckiej i postsowieckiej polityki i społeczeństwa” obydwu dystrybuowanych poza Europą przez Columbia University Press.

Źródło: <http://www.neweasterneurope.eu/articles-and-commentary/2284>

Redakcja bardzo dziękuje Autorce za przysłanie wywiadu, i pozwolenie przedruku - po drobnych poprawkach - w naszym biuletynie.

Janina Lacel

Z Glinian do Raczyń

Stefan Bosa urodził się w 1924 r. w miejscowości Gliniany, leżące w odległości 37 km od Lwowa, w pow. Przemyślany, woj. Tarnopol. W miasteczku mieszkali Ukraińcy, Polacy, Żydzi i Cyganie. Był tam posterunek policji, poczta, rzeźnia, sklepy żydowskie i fabryka kilimów znana w całym regionie lwowskim.

W domu krytym słomą mieszkała cała nasza rodzina: matka Maria z domu Łotocka, ojciec Stefan, starsza siostra Sydonia, młodsza Wanda i starszy brat Michał. Wewnątrz była izba kuchenna i duży pokój dla wszystkich członków rodziny. Obok domu była obora, w której trzymali zwierzęta w niewielkiej ilości, bo rodzice mieli tylko ok. 0,5 ha pola. Ojciec Stefana był szewcem, miał maszynę do szycia i stębnowania obuwia. Wielu ludzi przychodziło do ojca z różnymi naprawami butów a także z prośbą o wykonanie nowych butów.

W Glinianach była szkoła podstawowa 7-klasowa, gdzie uczyli polscy nauczyciele: p. [Helena] Hawlicka, p. [Leon] Hawlicki, p. [Maria] Dąbrowska i p. Sciniecka. Pan Stefan wspomina swoich nauczycieli z łezką w oku. To byli cudowni ludzie. Pamięta takie chwile, jak stał przed wielką czarną tablicą i rozwiązywał zadanie arytmetyczne. Po ukończeniu czwartej klasy pomagał ojcu w warsztacie szewskim.

Pamięta dobrze jak na początku wojny bogaci Żydzi uciekali do Palestyny, a Ukraińcy mordowali Polaków. W sierpniu 1944 r. nastąpiła przymusowa mobilizacja na wojnę wszystkich mężczyzn w wieku od 18 do 45 lat. Część poborowych zasiłała m.in. 1. Dywizję Piechoty im. T. Kościuszki we Włodawie nad Bugiem. Stefana zakwaterowano do Chełma, do 13. pułku piechoty zmortyzowanej moździerzy. Każdy żołnierz otrzymał pełne umundurowanie i ruski automat na 71 naboju.

Walczył na froncie od Budziszyna poprzez Drezno i ostatecznie aż pod Berlin. Wspomina walki z wojskiem niemieckim, jak strzelali z broni automa-

tycznej do Polaków i wtedy bardzo dużo żołnierzy ginęło, ale nie było odwrotu, bo był rozkaz iść naprzód.

Za walki w okresie wojny otrzymał medale i wyróżnienia: Medal Za Zwycięstwo i Wolność - zaraz po wojnie, 1410-1945 Grunwald-Berlin, Medal Za Odrę, Nysę i Bałtyk - przyznała Rada Państwa, za udział w walkach o Berlin - Ministerstwo Obrony Narodowej Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Po wojnie wszystkich żołnierzy polskich zatrzymano, jako armię polską, na poligonie w Poznaniu i tam to zakwaterowanie trwało przez rok, do 1946 roku. Potem wraca do rodziców na wschód, do Glinian, i podejmuje pracę w fabryce kilimów. Tam poznaje żonę Katarzynę z domu Stachowska i tam urodziła się córka Lidia. W 1959 r. przyjechał z całą rodziną na Dolny Śląsk, do Lubnowa gmina Ziębice, gdzie zamieszkał u rodziców żony, Stachowskich. Brat żony, Michał Stachowski, był szewcem w tej wsi. A rodzice pana Stefana zamieszkali u siostry Sydonii w Kędzierzynie. W 1960 r. p. Stefan ostatecznie objął gospodarstwo rolne w Raczycach o areale 7 ha. Gospodarzył na nim z żoną przez 22 lata i później zdał gospodarstwo na skarb państwa. Wieś, do której przybył po wojnie bardzo mu się podobała, bo była zadbana z ładnymi zabudowaniami.

Wywiad z Adamem Komorowskim (cz. IV)

Red. Rozmowę prowadziła Małgorzata Brama w Londynie (3.12.2006 r.). Tekst pobrano z Archiwum Historii Mówionej (www.ahm.1944.pl).

Czym mógłby pan opowiedzieć coś o swoim bracie?

Brat, jak mówię, miał zespół Downa i z początku chodził do specjalnej szkoły. Matka go codziennie zawoziła i potem odbierała. Po zakończeniu tej szkoły zaczął jeździć do *Adult Training Centre*, to też przez gminę prowadzone dla takich ludzi. Codziennie przyjeżdżał po niego autobus i odwoził do domu. Tam się doskonale bawił, a w domu, w ogóle jak tylko ktoś przyszedł, to on z miejsca operował w kuchni – herbata, ciasteczka, zmywał, cały dom czyścił. Gdy ktoś wszedł mu do kuchni, to był bardzo obrażony, bo to była jego sfera operacji. Matka się strasznie przejmowała, co się z nim stanie, jak już jej nie będzie i zapisała dom rodzinny, żeby on tam mógł mieszkać i żeby można wciągnąć starszą panią na emeryturze, żeby się nim opiekowała. Matka zmarła dwa lata po ojcu, w 1968 roku.

Miała *anginę pectoris* i była w szpitalu przez parę miesięcy przed śmiercią. Ale po prostu mam wrażenie, że do czasu, gdy ojciec żył, to była aktywna, właściwie prowadziła całe przedsiębiorstwo, z tego żeśmy żyli, a po śmierci ojca straciła właściwie całą ambicję do dalszego życia. Dożyła pierwszych dwóch wnuków. Moja żona już była w ciąży, ojciec o tym wiedział. Syn się urodził

w styczniu, była w trzecim miesiącu ciąży. Jak matka już zaczęła chorować i była w szpitalu, to żona powiedziała: „Słuchaj, weźmiemy Jerzego do nas”. My żeśmy wtenczas mieszkali w południowej Walii i Jerzy zamieszkał z nami. Mieliśmy wtedy dwóch młodych synków, on bardzo pomagał, bo zmywał, wszystkie łóżka ścielił. To nie, że trzeba było go poprosić, tylko sam z siebie robił. Potem jak chłopcy zaczęli trochę podraść, to można go było zostawić z chłopcami, opiekował się nimi. Potem, po pewnym czasie bawił się z nimi, a potem oni go przeorośli. Dwóch najmłodszych synów przez parę lat mieszkało w tym samym pokoju razem z nim. Oni w ogóle może więcej od dwóch starszych zawsze go wspominają i pamiętają bardzo serdecznie.



Gen. Tadeusz Komorowski z rodziną.

Skopiowano z książki: Tadeusz Bór-Komorowski, *Powstanie Warszawskie*.

Rok przed śmiercią zaczęliśmy się bardzo niepokoić, bo parę razy Jerzy nie wrócił do domu. Raz żeśmy go znaleźli w pobliżu w parku, gdzie po prostu wędrował, jakby zupełnie zgubiony. Dowiedzieliśmy się, że podobno u takich osób Alzheimer bardzo szybko działa. On wtedy miał ze czterdzieści siedem, osiem lat i w przeciągu chyba roku, od czasu gdy żeśmy to spostrzegli, to można mu było podać jedzenie i on się na to patrzył, trzeba było go karmić. Pod koniec, trzeba było mu dawać pieluszkę, trzeba było go myć, nawet ubierać. Po prostu nie wiedział, co się z nim dzieje. To było bardzo smutne. Ale szczęśliwie długo nie

potrwało. Zachorował w grudniu. Zawieźliśmy go do szpitala, leżał tam przez dwa tygodnie i w moje pięćdziesiąte pierwsze urodziny, 12 grudnia, zmarł w 1993 roku. Niepokoił się, bo wiedzieliśmy wtedy, że następnego roku zawieziemy prochy rodziców. Cała rodzina jedzie, bo wszyscy moi synowie i żona i nie było u kogo zostawić mojego brata. Jakoś szczęśliwie zmarł. Szczęśliwie z jego strony, bo zupełnie nie wiedział, gdzie jest. Nie potrafił nic robić. [...]

Kiedy pierwszy raz pan przyjechał do Polski?

Pierwszy raz przyjechałem po pierwszych wyborach. [...] Chyba to było w 1991, albo 1992.

Na zaproszenie?

Nie. Jak mówię, mój kuzyn Piotr Piniński, który był urodzony w Anglii, jeździł [do Polski]. Pracował w firmie Barkley i oni się zajmowali prywatyzacją [fabryki] traktorów Ursus. Jeździł do Polski na brytyjskim paszporcie i zdecydował się przenieść na stałe. Miał wtedy jednoletniego synka. Pojechał z żoną. Jego matka była Szkotką, a ojciec był Polakiem, moim kuzynem. [...] Za pierwszym razem pojechałem do Piotra. To jeszcze wtedy pojechałem, jak miałem [dokument podróży]. Konsulat dawał wizę, której nie stemplował w paszporcie, bo na [dokument podróży] było mi można wszędzie pojechać poza Polską. Bo niby byłem tutaj jako uciekinier z Polski. Tak, że wizę brali na granicy Polski, a wracałem z zupełnie czystym dokumentem. Dopiero po powrocie, po pierwszej wizycie, pomyślałem sobie, czemu nie wziąć polskiego obywatelstwa i mieć polski paszport. Pojechałem wpierw chyba do ambasady z prośbą, to się zaczęli mnie pytać: „Pod jakim adresem pan mieszkał przed wyjazdem z Polski?”. Powiedziałem: „Nie wiem, gdzieś na wsi pod Krakowem. Wtenczas miałem niecałe trzy lata, nawet dwa lata”. – „A gdzie pana rodzice mieszkali?”. Powiedziałem: „Też nie wiem, pod najrozmaitszymi adresami, bo byli w konspiracji”. – „Uuu! To bardzo źle”. Stawiał mi najrozmaitsze pytania, na które po prostu nie mogłem odpowiedzieć. W końcu się trochę zezłościłem, nie miałem też żadnego dowodu urodzenia, metryki. „Oj proszę pana! Nie. Nie wiem, czy to się da zrobić”. Powiedziałem: „Jedynie mogę panu polecić książkę «Armia Krajowa» [napisaną] przez generała «Bora» Komorowskiego, gdzie na stronie 345. pisze: «Dowiedziałem się, że moja żona urodziła syna Adama 12 grudnia...»” – „A! To pan jest synem generała «Bora»?”. Powiedziałem: „Tak”. „To w takim razie nie ma żadnych problemów”. I w przeciągu paru tygodni otrzymałem paszport polski i na tym w dalszym ciągu teraz jeżdżę.

To chyba był rok 1992 albo 1991, kiedy pierwszy raz pojechałem po Polski. Od tego czasu, czasami trzy, cztery razy do roku jadę. Parę lat było, że nie pojechałem, to po prostu zależy. Teraz, jak są tanie loty, to nawet jeden z moich kolegów Anglików skończył sześćdziesiąt lat, to mu na długi weekend zafun-

dowałem wycieczkę do Krakowa i do Warszawy. Czwórka nas pojechała. Po raz pierwszy przyjechali zwiedzić Polskę.

Chciałam się zapytać, czy kiedykolwiek rząd brytyjski przeprosił pana, pana rodzinę?

Nie, ani słowa. Niby też się dowiedziałem paru nowych rzeczy z książki pana Daviesa „Powstanie '44”. To też było dziwne. Kolega, o którym mówiłem, którego zawiozłem do Polski, on jest wykładowcą na uniwersytecie i też wyklada wieczorami dla dorosłych ludzi o komputerach i tym podobne rzeczy. Powiedział mi, że otrzymał butelkę „Żywca” od jednej pani, która była na jego kursie. Powiedziała: „Byłam w Polsce i przywiozłam panu”. – „Tak, to znam, bo to piję u mojego kolegi Adama Komorowskiego”. – „Aha. To bardzo słynne nazwisko”. Powiedział: „Tak, to jest syn generała «Bora»”. Powiedziała: „Jestem uczennicą pana Daviesa i on w tej chwili pisze książkę o Powstaniu. On z pewnością by chciał się skontaktować z synem, ale książka lada moment idzie do wydania. Może by pan mi podał jego telefon?”. Ona do mnie zadzwoniła, powiedziała: „Pan Davies by bardzo prosił, czy by pan mógł napisać osiemset słów o swoich wspomnieniach?”. To napisałem. Parę dni przed tym, gdy to wszystko musiało być wysłane do redakcji i w ogóle nie wiedziałem, że on tę książkę wtedy pisze. Dowiedziałem się o tym w dziwny sposób. Tak samo, jak byłem zawsze przekonany, że jestem właściwie jedyny Komorowski z naszej rodziny na świecie. W latach dziewięćdziesiątych moja żona pracowała w Banku Lloyds w Harold pod Londynem i jednego dnia wszedł [klient] - Kanadyjczyk, żeby wymienić czeki. Widzi, że nazwisko Bridget Komorowska i mówi: „A! Pani ma nazwisko Komorowska?”. – „Tak”. „Znaczy pani może słyszała o generale «Borze» Komorowskim?”. Powiedziała: „Tak, rzeczywiście słyszałam”. „A czy może pani jest spokrewniona z nim?”. – „Tak, mój mąż jest jego synem”. On powiedział: „A, bo mam przyjaciółkę Gabrielę Komorowską w Montrealu. Czy by pani mi podała swój adres, ona z pewnością by się chciała skontaktować?”. Rzeczywiście po pewnym czasie otrzymałem od Gabrieli bardzo długi list, z bardzo licznymi pytaniami. Na jedne potrafiłem odpowiedzieć, na inne nie, wysłałem list i nic, cisza. Po pewnym czasie sobie pomyślałem, jaka szkoda, bo to rzeczywiście może być rodzina, ale w międzyczasie zagubiłem jej list z adresem.

Minęło pięć lat i szukając czegoś innego we wszystkich śmieciach, które trzymam w domu, znalazłem jej list i pomyślałem sobie, muszę do niej napisać jeszcze raz. Następnego dnia, nim w ogóle zacząłem pisać do niej list, przyszedł list od niej, że strasznie mnie przeprasza, że tak długo nie odpowiadała, ale że najrozsądniejsze tragedie były w jej rodzinie. Że matka zginęła w wypadku samochodowym w Belgii, że syn jednej córki popełnił samobójstwo, że córka siostry się zabiła w wypadku samochodowym z matką i po prostu nie doszło do odpowiedzi na mój list. Ale że teraz ma lepsze wiadomości, bo córka najstarszej jej

siostry w Belgii wychodzi za mąż za księcia Filipa, tak że będzie księżną. [...] I czy jadę na zjazd Komorowskich. Powiedziałem: „Na jaki zjazd Komorowskich?”. Powiedziała: „To skontaktuj się z Jurkiem Komorowskim w Poznaniu”. Rzeczywiście się z nim skontaktowałem i zjazd był w Żywcu. Przyjechało przeszło sto osób z całego świata. Też się dowiedziałem, że jest linia prymasowska, jest linia litewska. Tam się zapoznałem z Bronkiem Komorowskim, z którym utrzymuję w dalszym ciągu kontakt i mieliśmy dwa następne zjazdy rodziny. Ostatni był prowadzony przez Bronka i pojechaliśmy na Litwę. Rzeczywiście byłem jedyny z linii prymasowskiej. Teraz mam czterech synów i dwóch wnuków. Mam nadzieję, że jeszcze przez pokolenie, dwa, pociągnie.

Synowie mówią po polsku?

Niestety nie. Moja żona chodziła na lekcje polskiego. Jak wracałem wieczorem, to dzieci już były w łóżku. Wysyłałem ich do polskiej szkoły sobotniej, ale poza tym, że parę słów się nauczyli, to żeby mówić dużo, to niestety nie. Niestety...

A są dumni, że mają słynnego dziadka?

Tak, jak najbardziej. Jeden z moich synów, też o imieniu Adam [...] jeździ na najrozmaitsze spotkania [...] Jeździł do Szwecji i tam było duże spotkanie, a większość na tym jest głównie wojskowych, są pułkownicy i tym podobni i on prowadził dyskusję. Tłumaczył ile [co] będzie kosztować i potem go zaprosili na drinka do baru. Z miejsca jeden pułkownik go pyta: „Pan ma nazwisko Komorowski. Czy pan jest może spokrewniony z generałem «Borem» Komorowskim?”. Powiedział: „Tak, jestem jego wnukiem”. „A bo akurat czytałem książkę Daviesa. To wspaniale”. [...] Powiedział, że ma dużo do czynienia ze sferą wojskową gdziekolwiek działa i w ogóle zatrudniają eks-wojskowych do tej pracy, że nazwisko jest bardzo często poznawane i się go pytają. Jak tylko powie, że jest wnukiem, to jemu bardzo idą na rękę.



Gen. Tadeusz Komorowski z synem Adamem. Reprodukacja z: Tadeusz Bór-Komorowski, *Powstanie Warszawskie*.

Mam jeszcze pytanie. Czy uważa pan, że jednak rząd brytyjski powinien przeprosić pana i rodzinę? Czy pan czeka na takie przeprosiny?

Nigdy o tym nawet nie pomyślałem, przyznam się. Niby dali nam tutaj żyć,

niby nie mogę narzekać, specjalnie zamożny nie jestem, ale wychowałem czterech synów i biednym zupełnie [też] nie jestem. Tak, że z pewnością mam życie lepsze, niż bym miał [w czasie] komunizmu w Polsce. [Za to] jestem wdzięczny. Nie, nigdy nie uważałem, że czekam na przeprosiny. Taka jest realna polityka, tak się dzieje i trzeba z tym po prostu żyć.

Co pan czuje, jak jest pan w Warszawie? Był pan w Warszawie na ulicy „Bora” Komorowskiego?

Byłem. Tak. Pojechałem zobaczyć. I w Krakowie tak samo, jest.

I co pan wtedy czuł?

Chyba po pierwsze zdziwienie, że coś takiego się w ogóle stało. Też sobie pomyślałem, że ojciec by w to też zupełnie nie wierzył.

Skoczę teraz z powrotem do Powstania. Bo widziałem się, za pierwszym razem jak pojechałem [do Polski], to jeszcze żył „Agaton”, który był adiutantem ojca. On mi opowiadał, że słuchał radia z Londynu i jego poinformowali, że ojciec został mianowany Wodzem Naczelnym i poszedł do ojca jemu to przekazać. Powiedział, że ojciec się zatrzymał, pomyślał i powiedział: „Przecież oni tam chyba wszyscy zwariowali?”. Taka była jego odpowiedź na tę nowość. Mnie to nieco dziwiło, dlaczego mianowali osobę, która z pewnością wkrótce znajdzie się w niewoli, Naczelnym Wodzem. To mi też trudno było zrozumieć. Dopiero w późniejszych latach, bo chyba w osiemdziesiątych, wytłumaczył mi jeden pan, który był w rządzie polskim, że właśnie obawiali się, że Niemcy potraktują ojca jako terrorystę i go rozstrzelają. A jeśli będzie mianowany Wodzem Naczelnym, to może go będą lepiej traktować. Mianowali go Wodzem Naczelnym, żeby go chronić.

Nigdy nie przytłaczała pana wielkość taty?

Nie, bo wiedziałem, że to jest osoba bardzo specjalna. Wiedziałem, że do niczego podobnego nigdy nie będę dążyć. Tak że prowadziłem własne życie, byłem sportowcem, grałem w rugby, krykiet, wszystkie angielskie sporty i interesowałem się muzyką popularną. Nawet do dziś dnia piszę o tym, niby jestem uznawany jako ekspert rock'n'rolla. To zupełnie inna sfera. Wiedziałem dokładnie, kim ojciec jest i byłem bardzo z niego dumny. Ale nie, to mi zupełnie żadnych problemów nie dawało, ani psychologicznie, ani... Może dlatego, że sam był bardzo skromny. Wiem, że matka zawsze bardzo się na to gniewała – „Generał Anders to zawsze na jakiegokolwiek uroczystości z wszystkimi medalami w mundurze chodzi”. A ojciec tylko [jak] go zmusili ubrać mundur, to ubierał, a tak to zawsze chodził po cywilnemu, medale leżały u niego w biurku i nigdy ich nie nosił.

Teraz są wszystkie medale taty?

W Instytucie Sikorskiego. A mundur przekazałem do Muzeum Armii Krajowej w Krakowie, nim w ogóle dowiedziałem się, że będzie muzeum w Warszawie. Wtedy prezydent miasta, pan Kaczyński, jak była uroczystość pięćdziesięcio-dziewięciolecia, to zdaje mi się, zapowiedział, że za rok będzie muzeum.

Był pan w Muzeum Powstania Warszawskiego?

[Wiele] razy. Widziałem, jak to się rozrasta.

I jakie wrażenie?

Ostatnim razem, jak byłem w Polsce, to chyba było dwa, trzy miesiące temu i po raz pierwszy pojechałem razem z Piotrem Komorowskim, synem mojego kuzyna, który jeździł po całej Europie, i poza Europę. Powiedział mi, że to muzeum mu zaimponowało więcej niż jakiegokolwiek muzeum na całym świecie, które widział. Znowu tak dużo muzeów nie zwiedzałem, przyznam się, co on. [...] Byłem bardzo [oczarowany] Muzeum Powstania i w ogóle tym, co w dalszym ciągu widzę, że się rozwija. Z tego powodu chcę wszystkie dokumenty i wszystko co mam, przekazać. Z tym, że muszę to wszystko znaleźć.

Pan jest podobny bardziej do mamy? Co zawsze panu mówili, czy pan jest do mamy, czy do taty podobny?

Niektórzy mówią trochę, że do matki, trochę, że do ojca. Ale mam wrażenie, że ani do jednego, ani do drugiego nie jestem zbyt podobny. Rodzina mojej matki, to znaczy Lamezan-Salins, jak mówiłem, przyjechała z Austrii. Ale poprzednio pochodziła z Francji i mam wrażenie, że [moja] cera [to cera] francuska, bo jestem dosyć ciemny. Włosy już niestety nie są ciemne, ale swego czasu miałem czarne włosy, że to pochodzi z rodziny matki z Francji. Ojciec był bardzo szczupły, ja natomiast jestem trochę tęgi. Jeszcze mam parę włosów, a ojciec był [łyśy]. Nie pamiętam ojca z włosami od najmłodszych lat. Chyba już w czasie Powstania ojciec był [łyśy], prawdopodobnie z tego, że przez wszystkie lata w wojsku nosił rogatywkę. Tak niektórzy twierdzili, nie wiem, czy to rzeczywiście tak było. Zawsze mnie to bardzo bawiło, bo ojciec chodził regularnie do fryzjera i myślałem sobie, po co płaci, to był szyling i półtora szylinga, żeby się ostrzyć, jak tylko tutaj troszeczkę jemu... Ale nie, on regularnie chodził, żeby się ostrzyć.

Gdy kończę wywiad z powstańcami, zadaję im pytanie, czy jakby miał pan osiemnaście czy dwadzieścia lat i byłby pan w tym czasie w Warszawie, jak pan myśli, czy by pan poszedł walczyć do Powstania?

Trudno jest mi powiedzieć, jak bym się czuł na tym stanowisku, skoro nigdy go nie znałem, ale z tego co wiem, to sądzę, że z miejsca.

Eugeniusz Matkowski

Dziecięce obrazy z mojego Kopania

Urodziłem się w Kopaniu w r. 1939 jako młodszy syn Stefanii i Feliksa Matkowskich. Przed wojną ojciec pracował jako masarz w lwowskiej rzeźni p. Jankowskiego (ul. Łyczakowska), a mama w bursie studenckiej na Podzamczu. Mama dobrze знаła Tońka z kabaretu Tońcio i Szczepcio (*Henryk Vogelfänger i Kazimierz Wajda - dop. J.W.*). W roku 1938 rodzice wrócili do Kopania na własne gospodarstwo. Wieś była rolnicza, a gospodarze samodzielnie wykonywali wiele narzędzi dla potrzeb domu i zagrody.

Pamięć moja sięga roku 1943, kiedy to w czwórkę wyszliśmy z mieszkania stając frontem do ulicy i usłyszeliśmy turkot kół żelaznego wozu po zasnętej, gliniastej wiejskiej nieutwardzonej drogi. Na siedzeniu tego wozu siedziało dwóch Niemców. Jeden przewożąc trzymał lejce, natomiast drugi wodził karabinem to w lewo, to w prawo. W pewnym momencie skierował broń w naszą stronę. Przewożący łokciem lewej ręki odepchnął karabin, jadąc dalej w kierunku Hanaczowa.

Od tego pierwszego obrazu niektóre wydarzenia zaczęły się utrwalać w pamięci, np. odwiedziny rodziny i sąsiadów. Dobrze pamiętam moją babcie i kuzynów, z którymi często się spotykałem oraz dwie nauczycielki z naszej szkoły (jedna była wysoka a druga niska), obie były ubrane na czarno.

Naprzeciw naszego domu był niewielki stawek (sadzawka), do którego wchodziliśmy dla zabawy. Stawek miał różne przeznaczenie: służył jako zbiornik wody do pojenia koni i bydła, zaś na jesieni i przez zimę do moczenia zebranych konopi.

Niezapomniane były święta Bożego Narodzenia 1943 r. W domu stała prawdziwa jodłowa choinka z mnóstwem różnych błyskotek, w większości wykonanych przez moją mamę oraz świeczki na żabkach.

Rok 1944 zaczął się bardzo źle - w lutym został zamordowany przez Ukraińców ks. Stanisław Kwiatkowski ze Świrza, nasz proboszcz, i wówczas wśród naszych rodzin wyczuwało się każdego dnia duże zaniepokojenie, zwłaszcza w porze wieczorowo-nocnej.

Ponieważ napady na polskie domy zdarzały się coraz częściej w okolicznych wioskach, ojciec wybudował niewielki schron, w którym czasem ukrywaliśmy się. Niezależnie od niego mieliśmy „grubę” (ziemiankę) podziemne pomieszczenie służące do przechowywania ziemniaków, z dwoma wyjściami. Gdy mieliśmy się tam chować, to na ziemniaki została rozścielona słoma. Mama przeniosła tam dwa obrazy z domu: Serce Pana Jezusa i Matkę Boską.

Pewnego wieczora spadł obfity śnieg. Odsunęliśmy z wejścia „gruby” dwa snopki ubitej słomy (korki) i weszliśmy z lampą stojącą do środka, zasłaniając otwór „korkami”. Po przespanej nocy wyszliśmy na zewnątrz i do domu. W tym czasie ze schronu korzystali również nasi kuzyni, którzy o nim wiedzieli.

Większe rodziny nie ukrywały się razem. Ze względów bezpieczeństwa dzieliły się na mniejsze grupki lub chowały się pojedynczo. I tak któregoś dnia, może to był marzec, nasza rodzina podzieliła się na trzy grupy. Ja ze starszym bratem Jankiem (byłem młodszy od niego o 18 miesięcy), potajemnie, za namową ojca, weszliśmy po drabinie przez lukarnę w dachu znajdującego się nad stajnią sąsiada, Ukrainca (Piotra Hałajko). Zakopaliśmy się w siano tak, że tylko głowy nam było widać. Rano obudził nas okrzyk:

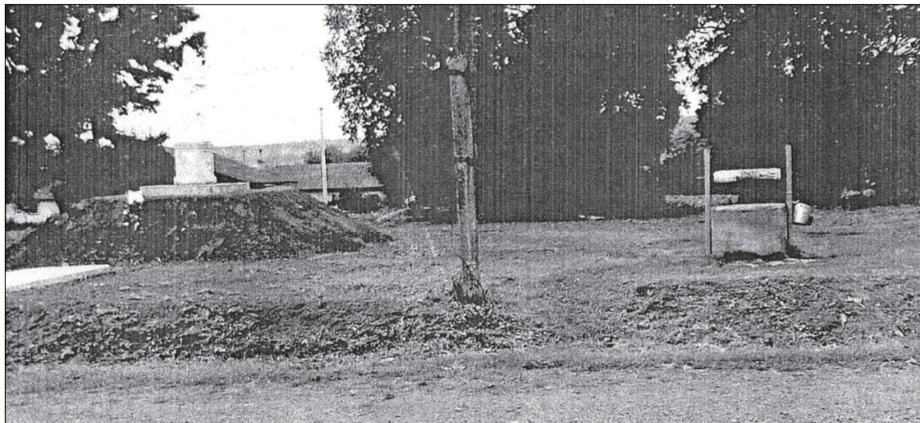
- *Szo wy tu robyty!*

Otworzyłem oczy i ujrzałem w powietrzu błyszczące widły, którym blaszku dodawało poranne słońce. Janek usłyszawszy ten krzyk, ruszył z miejsca z niebywałą prędkością i niemal zsunął się po drabinie, wpadając głową i rękami w śnieżną zaspę. Ja ruszyłem za nim i wpadłem na niego. Szybko wstaliśmy i przez oderwane sztachety weszliśmy na swoje podwórko. Tej nocy mama z młodszą siostrą na rękę przebywała gdzie indziej, natomiast ojciec był w ukryciu umożliwiającym obserwację okolicy.

Kolejnego dnia poszliśmy do kuzynów, również Matkowskich. Dorośli rozmawiali i rozpaczali nad zaistniałą sytuacją. Wracając do domu przytrafiła mi się przygoda. Otóż w tym śniegu zgubiłem lewy but, o czym przekonałem się dopiero w domu. Idąc, mówiłem mamie, że mi zimno w lewej nodze, a mama odpowiedziała, żebym szedł szybciej, to mi będzie ciepło.

Kilka zdań o moich dziadkach. Moja babcia Józefa Hutman (ur. 7.03.1881 r.) wychodziła za mąż trzykrotnie. Pierwszy mąż nazywał się Ignacy Kleszczyński. Małżeństwo miało syna Ignacego (ur. 23.01.1905 r.), mojego chrzestnego. Dziadek zmarł na tyfus w roku 1907 lub rok później. Drugim mężem był Franciszek Matkowski (ur. 24.08.1881 r.). Został zmobilizowany w 1914 r. do armii austriackiej, do batalionu szturmowego, i w tym roku zginął w wieku 29 lat w starciu z wojskami carskimi w obronie twierdzy Przemyśl. Jego synem był mój ojciec, Feliks, urodzony w 1910 r., zaś córką Maria, dwa lata młodsza, moja chrzestna.

Babcia Józefa, wdowa, po kilku latach ponownie wyszła za mąż, za wdowca Tomasza Kłosowskiego (ur. 27.02.1873 r.). Ich dzieckiem był Franciszek (ur. 7.01.1922 r.), przyrodni brat mojego ojca. Dziadek Tomasz prowadził 13.04.1944 r. na sprzedaż dwie krowy i został postrzelony w nogi przez Ukraińców a następnie porąbany siekierami, nawet głowę mu rozplatali. Z tego nieszczęścia wkrótce zmarła babcia Józefa, chyba w kwietniu 1944 r. Pamiętam pogrzeb dziadka, a szczególnie brzozywy krzyż oparty na zewnątrz ogrodzenia posesji.



Plac, na którym stał dom babci Kłosowskiej.
Pozostała studnia i później usypany kopiec z figurą. Kopań 2015 r.

stroną ulicy, był późny ranek i słoneczny dzień, mogła być godzina dziesiąta.

W pewnym momencie usłyszeliśmy przeraźliwy płacz dziecka, wydobywający się z mieszkania na parterze, w którym drzwi i okna były otwarte, jakby celowo. Weszliśmy do środka i stwierdziliśmy, że poza dzieckiem (niemowlęciem) w łóżeczku, nikogo nie ma. W narożniku pomieszczenia była kafłowa kuchnia, na której stał zielony czajnik z wodą. Mama sięgnęła po porcelanowy garnuszek, nalała wody i dała dziecku pić. Maleństwo natychmiast się uspokoiło. Możliwe, że mama знаła rodziców tego dziecka.

Gdy go uspokoiła, poszliśmy chyba do zakonnicy. Wejście na ich teren było z lewej strony budynku. Ja czekałem na podwórku, gdzie w jego środku znajdowała się studnia z kołowrotem na korbę. Od zadaszenia studni rozciągnięte były sznury, na których suszyło się dużo białej pościeli. O skutkach rozmowy mamy z zakonicami nic nie wiem.

Ze Lwowa jechaliśmy przepełnionym pociągiem do Łańcuta, później do Biedaczowa i w 1945 r. dotarliśmy do Leżajska. W czasie podróży jechały z nami dwie starsze panie, które częstowały nas herbatnikami. W Przemyślu byli uciekający Niemcy i próbowali wyciągnąć z wagonów młodych mężczyzn. To spotkało mojego ojca, trzymającego na rękach moją siostrę, Marię. Ojciec stojąc na schodkach wagonu, trzymał się poręczy i nie dał się odciągnąć. Wtedy został kilkakrotnie uderzony przez Niemca.

W Leżajsku nie znaleźli zbyt wiele było domów do zamieszkania. Ojciec znalazł na skraju miasta chatę, w którym ściana wewnętrzna, znajdująca się między sienią i izbą była częściowo rozwalona. Z pomocą przyrodniego brata

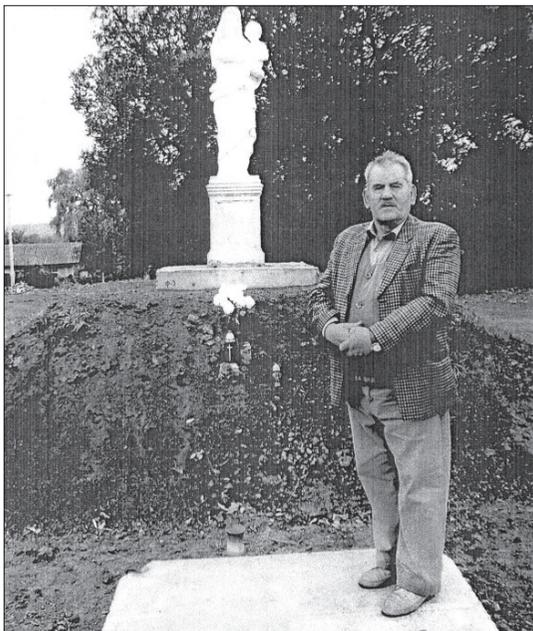
Franciszka, ojciec uzupełnił brakującą część ściany, przynosząc zdobyte brusy i belki, jakie były dostępne.

Wieczorem po tej pracy tata rozpałił ogień pod kuchnią i usiedliśmy na prędcie zrobionej ławce. Na zewnątrz już było ciemno, a w środku mrok rozświetlały promyki wydobywające się przez drzwiczki kuchni. Tam mieliśmy niespodziewaną wizytę dwóch uzbrojonych mężczyzn. Przez chwilę wypytywali ojca i stryżka Franciszka i opuścili dom. Niektórzy mieszkańcy Leżajska traktowali nas niechętnie, albo i gorzej, określając jako Ukraińców, wywłoki, skąd przyszli, niech wracają, itp.

Myśląc o miejscu urodzenia, zawsze powraca chęć odwiedzenia Kopania. Od kilku lat, rokrocznie, wyjeżdżam na uroczystości rocznicowe do Zadwórze, ale też do Przemyślan, Świrza i Kopania. Miałem

to szczęście, że w rodzinnej wiosce zastałem jeszcze żyjące Polki z małżeństw mieszanych. Będąc tam w 2015 r. dowiedziałem się, że brat babci - Ignacy Hutman - został zastrzelony przez Ukraińców. W czasie wojny jego nowy dom został rozebrany i postawiony w innym miejscu Kopania. Na placu brata babci pozostała tylko studnia, z której okoliczni mieszkańcy do tej pory czerpią wodę. [2]

W ostatnich latach stała się rzecz co najmniej dziwna, gdyż na tym placu został usypany kopiec, a na nim cokół z figurą matki Boskiej z Dzieciątkiem. Czyżby to znak, że za wszystkich zmarłych, zabitych krewnych i powinowatych będę mógł zapalić znicze i pomodlić się za spójność ich dusz?



Autor wspomnień przy kopcu z figurą Matki Boskiej z Dzieciątkiem.
Kopania, 2015 r.

[1] Pierwsze transporty 12. DP wyruszyły ze stacji w Brzeżanach 3 września 1939 r. Rejonem koncentracji tego oddziału był odcinek między Skarżyskiem i Starachowicami, a pierwsze pododdziały były już tam 5 września, zajmując pozycje obronne. Dywizja wchodziła w skład armii „Prusy”.

W internetowej encyklopedii (www.wikipedia.pl) podano, że grupa żołnierzy

z Ośrodka Zapasowego 12 DP nie wyjechała na front. Jej skład stanowiło 50 uzbrojonych oficerów, 200 szeregowych oraz 3000 nieuzbrojonych żołnierzy. Została ona skierowana 15 września ze Złoczowa do Stanisławowa. 18 września, w rejonie Buczacza żołnierze zostali otoczeni przez oddziały sowieckie i po rozbrojeniu trafili do niewoli. Część oficerów została potem zamordowana w Katyniu.

Możliwe więc, że w grupie Ośrodka Zapasowego znajdował się ojciec autora, zwolniony do domu po rozbrojeniu oddziału.

W innym miejscu tej strony internetowej podano, że inny Oddział Zapasowy 12. DP (z 52. pułku piechoty) znalazł się 15 lub 16 września 1939 r. w okolicach Tłumacza, a 17 września wycofywał się w kierunku granicy, zapewne rumuńskiej, i tego dnia został rozwiązany. Dop. J.W.

[2] Ignacy Hutman miał lat 61, - dop. J.W.

Red. Na łamach czasopisma „Nasza przeszłość” (1998, t.IV, str. 47) ukazał się artykuł T. Trajdosa pt. „Uposażenie klasztoru dominikanów lwowskich w średniowieczu”. Tekst pobrano ze strony www.naszaprzeszlosc.pl/files/tom_091_02.pdf.

Uszkowice, wieś dominikańska

Zwsią dominikańską Uszkowice (od 1395 r.) graniczyły dobra szlacheckie Romanowskich h. Szaława. Na północ od Uszkowic leżała ich wieś Czuperenosów. Od dwóch pokoleń Romanowscy okazywali wielkie względy dominikanom, którzy skłonili do przyjęcia katolicyzmu twórcę fortuny rodzinnej Hleba Diatkowicza, ochrzczonego ponownie pod imieniem Jan. Jego synowie Mikołaj, późniejszy podczaszy lwowski i Piotr Romanowscy ofiarowali w 1441 r. lesistą wyspę okoloną nurtem potoku Kimirz i korytem rzeki Gniła Lipa, sięgającą granic Czuperenosowa i wsi Borszów, a więc na północ i wschód od Ustkowic.

W 1444 r. Romanowscy dokonali uzupełniającej donacji. Cedowali część pola w wyznaczonych granicach leżącego między wsią Czuperenosów a wsią Ustkowice. Rok później przeprowadzono delimitację [wyznaczenie granic] obu majątków na wszystkich odcinkach. Doszło więc po prostu do znacznego powiększenia obszaru Ustkowicw kierunku północno-wschodnim. (...)

Spore znaczenie dla konwentu Bożego Ciała miały wspomniane akty donacyjne Mikołaja i Piotra Romanowskich z lat 1441-1444. Poza nadaniem gruntów ornych i obszarów leśnych ci dobroczyńcy konwentu upoważnili dominikanów do czerpania rozległych korzyści z terenów należących do ich wsi Czuperenosów. W 1441 r. zdecydowali, że sam konwent i jego kmiecie z wsi Ustkowice mogą zbierać chrust i dokonywać wyrębów w ich puszczy nad potokiem Kimirz

„na wzgórzach, w lasach i dąbrowach aż po górę Oporne”. Materiał ten mógł służyć zakonnikom, młynom klasztornym w Ustkowicach i tamtejszym chłopom na opał oraz jako budulec. Dominikanie i ich poddani mogli także sprzedawać drewno z tych wyrębów.

Romanowscy zgodzili się ofiarować jeszcze więcej. Kmiecie z Uszkowic mogli we wspomnianej puszczy wypasać trzodę chlewną, bydło, owce i kozy. Klasztor i jego poddani mogli tam również urządzać polowania na zwierzynę i ptactwo. Akt delimitacji klasztornych Ustkowic i majątku Romanowskich (Czupernosów i Kimirz), dokonany w 1445 r. przewidywał jednak wzajemne korzyści i miał charakter dobrosąsiedzkiej ugody. Kmieciom klasztornym potwierdzono prawo wolnego wyrębu oraz wypasu na leśnej rubieży tych dóbr, ale poddani Romanowskich otrzymali identyczne przywileje wyrębu, paszni i łowiectwa w lasach i na wzgórzach przyznanych Ustkowicom.

W 1444 r. podobną delimitację przeprowadzono między Uszkowicami a wsią Mirzyszców [Meryszców] Sienka Leżatycza w obecności wojewody ruskiego Piotra Odrowąza i lwowskich dostojników ziemskich. W granicznym lesie i w zaroślach, gdzie ustawiono kopce, poddani obu właścicieli mogli swobodnie wycinać drzewa na budulec, opał i sprzedaż oraz wypasać konie, woły, krowy, owce i świny. Zapewniono im prawo do polowań, szczególnie na kuny, wiewiórki i lisy, ale z obowiązkiem zwyczajowej daniny z futer, skórek i mięsa składanej panom gruntowym. Przy obustronnej dobrej woli i zaspokajaniu potrzeb dewocyjnych szlachty konwent umiał zatem ułożyć sąsiedzkie stosunki z ziemianami z dużą dla siebie pomyślnością. (...)

W latach 1484-1490 miecznik lwowski Andrzej Świrski z Łuniowic h. Szaława wraz z Feliksem Dziewiatnickim i paroma innymi ziemianami zalegali z wypłatą legatu 27 grzywien. Konwent wytoczył im proces w konsystorz, który nie przyniósł dominikanom pomyślnego wyroku. (...)

Dziesięciny arcybiskupie (12 gr od łanu) wybierano na rzecz kurii lwowskiej jedynie ze wsi Ustkowice. Tę tylko wieś być może objął w 1484 r. okręg parafialny Świrza (kościół Nawiedzenia NMP), a więc i pobór mesznego. (...)

Dyspozycja królewska w nadaniu Uszkowic w 1395 r. wskazuje, że pobierano tam podymne, a od 1397 r. poradne wysokości 4 groszy. [1]

[1] Poradne, podatek poradny – w dawnej Polsce danina prawa książęcego zależna od rozmiarów ziemi uprawnej, od XIV wieku łanowe, w 1629 r. zastąpiona przez podymne.

Stały podatek od dóbr ziemskich wprowadzony przez Kazimierza Wielkiego, w wysokości 12 groszy w dobrach rycerskich oraz 24 groszy w dobrach klasztornych.

Podymne, także podworowe – stała danina (podatek) pobierana od każdego domu mieszkalnego. Dop. J.W.



Redakcja otrzymała bardzo piękne pozdrowienia od prof. Stanisława Sławomira Niciei. Na zdjęciu jest z żoną Haliną. W planach wydawniczych Profesora, autora serii albumowej „Kresowej Atlantydy”, jest umieszczenie Świrza w jednym z kolejnych tomów. Bardzo dziękujemy.

I N F O R M A C J E

„24 maja 1944 r. tabor niemiecki, jadący ze Świrza do Romanowa, został napadnięty w lesie. Dwóch Niemców zginęło. Następnego dnia otoczono las, likwidując partyzantów (ponoć około czterdziestu) i spalono wsie Romanów, Stanimierz i Siedliska, w każdej z nich zabijając po kilka osób i zabierając 250 mężczyzn do Lwowa.”

Taki tekst ukazał się w książce pt. „Kwestia ukraińska i eksterminacja ludności polskiej w Mało-

polsce Wschodniej”. Widocznie autor, nazwisko pominiemy milczeniem, korzystał wyłącznie z ukraińskich źródeł, bo błędów jest kilka, a niektóre przejawiają się na niekorzyść Ukraińców i pohybel Polaków: 1) widocznie na tabor napadli Ukraińcy, 2) nie wiadomo o jakich partyzantów chodzi, bo istniejący oddział kpt. „Procha” nie przeprowadził takiej akcji, 3) nie wiadomo o jaki las chodzi; może Niemcy złapali ukraińskich „party-

zantów”, 4) Niemcy nie spalili podanych wsi.

+++++

W miejscu rozebranego, nielegalnego obiektu ku czci UPA w Hruszowicach przeprowadzono prace poszukiwawczo-ekshumacyjne. Jak poinformował w rozmowie z portalem Kresy.pl tuż po zakończeniu badań kierownik prac, prof. Krzysztof Szwagrzyk, łącznie przebadano obszar cmentarza o powierzchni 20 metrów kwadratowych, zarówno w miejscu pod fundamentem nieistniejącego „pomnika UPA”, jak i w jego najbliższym otoczeniu. Na badanym obszarze ujawniono łącznie szczątki 16 osób, w tym 6 mężczyzn, trzech kobiet, dwójkę dzieci i jednego nastolatka. Przy części z nich odkryto artefakty, takie jak m.in. monety przedwojenne z lat 20. i 30. XX wieku.

- Na podstawie dotychczasowych wyników badań uznajemy, że nie ma podstaw uzasadniających twierdzenie, że na tym cmentarzu są pochówki członków UPA – powiedział prof. Szwagrzyk.

+++++

Na początku maja 1944 r. ukraińską dywizję SS odwiedził Heinrich Himmler. W swoim przemówieniu stwierdził m.in.: „Wiem, że gdybym rozkazał wam zlikwidować Polaków (...) dałbym wam pozwolenie dokonania tego, czego i tak pragniecie”.

+++++

Do odebrania wschodnich terenów Polsce wzywał na Facebooku ukraiński konsul w Hamburgu, W. Maruszczync. Wychwalał też we wpisach nazistów i domagał się „rozprawy z Romami”. Resort spraw zagranicznych Ukrainy natychmiast odwołał dyplomatę z funkcji. Wszczęto też wobec niego postępowanie dyscyplinarne.

+++++

Redakcja biuletynu składa serdeczne podziękowanie Stowarzyszeniu Kresowian w Kędzierzynie-Koźlu za zaproszenie na doroczną konferencję poświęconą pamięci ofiar ludobójstwa dokonanego przez ukraińskich nacjonalistów.

Wydawca niniejszego biuletynu wysłał artykuł o morderstwach OUN-UPA w pow. Przemyślany.

+++++

Adam Zaleski we wspomnieniach pt. „Zabierajcie się ze wszystkim – pojedziecie!” (str. 7) opisuje leśniczówkę w Krosienku: *W powiecie przemysłańskim, na zachód od miasteczka powiatowego Przemyślany, którądy wiedzie linia kolejowa Lwów-Podhajce, miasto otoczone jest lasami i gajami przedmiejskimi – własność hrabiego Potockiego. Tuż pod miasteczkiem położona jest rozległa wioska Krościenko, również otoczona lasami i gajami. Tutaj, na zachód od niej, pod borem sosnowym, na ustroniu leśnym, stała –*

od niepamiętnych czasów – stara leśniczówka. Był to dom mieszkalny z gankiem na słupach, za rosły dzikim winogronem i bluszczem. Przed gankiem ogród kwiatowy z różnymi klombami, przed ogródkiem stara lipa, a pod nią ławeczka. Za domem znajdowały się budynki gospodarskie: stodoła, stajnia dla koni z oborą dla bydła, pomieszczenia na zboże i siano oraz drewnitnia. W tym ustroniu, w uroczej leśniczówce urząd sprawował stary leśniczy Marcin Zaleski, urodzony w Wodnikach, powiat Bóbrka. Pradziadek Marcin Zaleski ożenił się z Marią Kotowicz (urodzoną w 1818), córką ruskiego grekokatolickiego księdza, z którą miał troje dzieci: Paulinę (po mężu Malinka), Ksawerego i Stanisława (mojego dziadka).

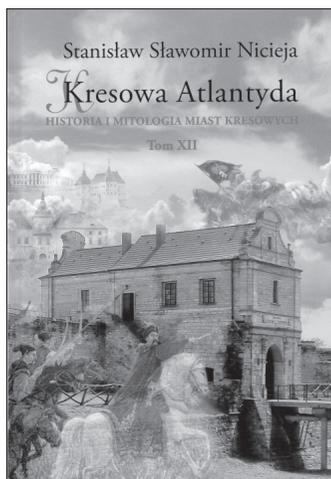
+++++

Rada Szkolna krajowa przeznaczyła dla gmin w powiecie przemyślańskim pożyczki bezprocentowe w wysokości: Białe 1500

złr., Pieników 300 złr., Majdan Lipowiecki 300 złr., Rozworzany 1500 złr. Organ nauczycieli Szkolnictwo Ludowe 20.04.1893 r.

+++++

Prof. Stanisław S. Nicieja przekazał redakcji XII tom z serii „Kresowa Atlantyda”. Na treść książki składają się opisy czterech miejscowości: Zbaraża, Podhorców, Oleska i Koropca. Bardzo dziękujemy za miły i cenny подарок.



Osoby pragnące finansowo wesprzeć porządkowanie cmentarza w Świrzu mogą wpłacić datkę na konto Nowogrodzieckiego Towarzystwa Gospodarczo-Społecznego, 59-730 Nowogrodziec, ul. Lubańska 42a; mBank: 40 1140 2004 0000 3602 7504 7020. Konieczny dopisek - cmentarz w Świrzu.

Spotkania Świrzan - biuletyn wspomnieniowo-historyczny Świrzan i Ich Potomków. Nr 137. Zebrał, opracował i wydał - Józef Wyspiański. Adres redakcji: 59-337 Lubin, ul. Sokola 28/6, tel. 76-74-94-125, adres internetowy: erjotwulubin@wp.pl. Wydano w Lubinie, II 2019 r. Druk MCKK Lubin. Przedruk tekstów pod warunkiem podania źródła. Rozpowszechnianie - bez ograniczeń. Redakcja będzie wdzięczna za wszelkie uwagi o przedstawionych treściach. Redakcja nie zawsze identyfikuje się z poglądami wyrażonymi przez autorów.